

Przygodnik dla Kobiet.

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok I.

— Poznań, 6 sierpnia 1881. —

Nr. 23.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Długa ulica 8. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do nieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskim i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesłało franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach: S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

JAK NALEŻY POJMOWAĆ WYCHOWANIE JĘDRNE I ZDROWE.

Ktoś powiedział, że chcąc narody, lub rodziny podupadłe ratować, trzeba młodzieży dać jędrne wychowanie i silną wolę. Że wychowanie, a mówię tu jedynie o wychowaniu, gdyż wykształcenie naukowe odrębną jest rzeczą, nie powinno być słabe: na to się każdy zgodzi, ale cóż przez to rozumieć? — Czyliż to znaczy, że dziecko nie powinno zaznać pieśczęt rodziców i nie wyczytać miłości w ich oku? Nie, bo dziecko rozwija się w atmosferze miłości, jak kwiat pod ciepłym niebem. — Czy surowością tylko prowadzić wychowania? — Niestety, wiele charakterów się tym systemem wykosszławiło, wiele zdolności przytępiło na zawsze. Czy pod pozorem uzbrojenia go na walkę życia wpoić wń podejrzenia, odjąć mu wiarę w ludzi, miłość ideałów, litość nad bliźnim? — Broń Boże! zrobilibyśmy go egoistą. Jest rzeczą stwierdzoną doświadczeniem, że im mniej mamy serca dla drugich, tem go mamy więcej dla siebie; surowość sądów o drugich roztapia się w adoracyi samego siebie; wybredny w jedzeniu, wymagający wygód nie widzi zwykle potrzeb otaczających go osób: nie znam nic twardszego, jak człowiek rozpieszczony, rozmiłowany w sobie.

Wychowaniem jędrnem nazywam zatem to, co w miejsce sobkostwa stawia obowiązek, co dziecko uważa za skarb najdroższy rodziców, ale nie za ich bożyszcze, do którego wszystko stósować się musi, wszystko ustępować jego wygodom, zachciankom, zabawom. Jędrne wychowanie daje dziecku nawyknienia skromnego życia, przestawiania na małym, wystarczania samemu sobie, za cel życia nie wskazuje używania, uwiecznienia próżnowaniem, ale uczy słuchać, przewyższać się, poważać starszych, szanować ludzi; uczy, że nie dziecku wszystko od rodziców, ale i tymże od niego wiele się należy. Jędrne wychowanie mówi nam od dzieciństwa, że są w życiu wielkie i piękne rzeczy, które wymagają będą poświęcenia całego siebie, że powodzenie nie jest wszystkim, bo bywają święte przegrane; uczy nie opuszczać rąk za lada trudnością, nie zrażać się przeciwnością, pogardzać bezduszną skargą, nie zajmować wciąż własną osobą drugich, nie roztkliwiać się nad sobą; ale myśleć z rozumą, działać stanowczo i wytrwale, a gdy po chrześcijańsku temu zaradzić nie można, to wyżej wznosić serce i umysł, zapalać go do spraw zacnych, nie pobłażać uczuciom drobnej zazdrości i obraźliwości, które są własnością słabych charakterów i małoduszego serca.

Wychowanie dziecka powinno być skromne, pożywienie jego zdrowe i obfite, ale nie wykointne, ubiór czysty, zgrabny, nie bogaty, usługi jak najmniej, a zawsze z podziękowaniem przyjęte. Zabawki niechaj ma niekosztowne, aby się nauczyło mierności, tak zalecanej przez mędrców, tak wychwalanej przez poetów. I tego przecież nie dosyć jeszcze, bo owę mierność należy ukochać, jeżeli chcemy prawdziwe osiągnąć szczęście. Widzimy osoby wychowane w takich, o jakich mówimy, warunkach, a jednak gorączkowo pragną bogactwa, używania, próżniactwa i w stósunkowym nawet dobrobycie zawsze są niezadowolnione, podczas gdy drugie wesoło na małym przestają. Pochodzi to stąd zapewne, że tamtym wystawiono jako szczyt szczęścia dostatek; pracę i naukę jedynie jako środek do otrzymania tegoż, mierność jako ów mierny stanik, jak mówił nasz Kochanowski, a dopiero rzeczywisty niedostatek! ten wystawiono im jako upokorzenie, wykołnienie w życiu. Dla tego należy młodzieży, a mówię tu równie o chłopcach, jak o dziewczętach, zachęcać do nauki, do pracy, nie w jedynym celu zarobienia sobie na mienie, na stanowisko, bo jakżby został bodziec dla tych, co je mają po rodzicach? jakież rozczarowanie i gorycz dla tych, co ich osiągnąć nie zdołali nauką i pracą?... — ale z uczucia świętego obowiązku pracy, która dla wszystkich stanów i wieków jest bezwzględna powinnością.

Wiele już było rozpraw i dotychczas trwa spór, czy nauka i praca mają być przedstawione małym dzieciom pod postacią obowiązku, czy zabawy. Wiele mówiono za i przeciw. Trudno rozstrzygnąć stanowczo, zdawałoby się jednak, że co ma być obowiązkiem na całe życie, powinno nim być od początku, byleby ani wtedy, ani potem, nie był on przedstawiony jako coś smutnego i odstrasającego, a stósowany ogólnie do sił umysłowych i fizycznych dziecka. Nie chodzi bowiem wcale o to, aby dziecku młodość zamroczyć i kłaść nań ciężary, którym ledwie starsze podolają lata, nie trzeba zwłaszcza wpaść w wątplenia i nieufności do siebie; ostudzić jego zapale i szlachetne popędy. Młodość jak ruch, jak światła, tak potrzebuje wesołości, wiary w siebie i drugich, potrzebuje ufać, że wszystko, co pożąda, osiągnie, wszystko, co zechce, potrafi i w tem właśnie tajemnica jej siły. Miarkować zatem, ale nie ścieśniać należy jej serce i umysł. Kto nigdy nie skakał, daleko zająć nie zdoła, kto nigdy

poza możliwość myśłą nie wybiegł, ten rzadko do wyższych wzniesie się pragnień. I tak też rozumieć można owę mniemaną potrzebę wyszumienia się młodzieży. Młodość niechże szumi, ale tak, jak szlachetne wino, które perłuje nadmiarem siły i żaru, czasem nieopatrznie korek wyrzuci, wystrzeli szumem, ale niebawem oczyszczone z obcych naleciałości, wytrawione, zachowuje siłę przez długie lata ku pokrzepieniu słabych, a rozweseleniu mocnych, nie jak owa fabrykacja winna, która w kwas się obraca i pokrywa pleśnią bez treści, bez siły i woni.

DO MUZYKI

Na twoich skrzydłach lecę w świat marzenia,
Muzyko! sztuki najcudniejsza perło,
Ty wszechpotężne dzierzysz uczuć berło,
Ty wzlatasz w niebo hymnem uwielbienia!

Rzewna — gdy zadrżysz w piosence słowika,
Czuła — w fujarce gdy samotna wioniesz,
Cicha — gdy w echu gdzieś daleko toniesz,
I gdy na stepach płyniesz tęskno dzika!

Drżą serca struny, gdy twój geniusz biały
Iskrami znaczy przejście twe skrzydlate,
Zwątpienie serca i ducha zapala
W twoje się cudną przybierają szatę!

Potęgą twego uroczego brzmienia
Otwierasz bramy rajskich złudzeń światów,
W piersi śpiewaka budzisz źródło natchnienia,
Co daje wieńce nieśmiertelnych kwiatów.

Twoją harmonią dusza upojona
Wzłata swobodnie w kraje ideału
I tuląc ludzkość w braterskie ramiona,
Rozjaśnia serce iskrami zapalu!

Siłą twych tonów granity przebijasz,
Ogniem melodyi topisz twarde lody,
Pieśnią modlitwy do Boga się wzbijasz,
Pieśnią wolności ty wskrzeszasz narody!

Uriela.

PERCY, BISCHÉ SHELLEY.

SZKIC BIOGRAFICZNY

przez

E. z K. P.

(Dokończenie).

Wśród tego życia, pełnego kłopotów i niepokoju, znikły wkrótce zachwyty miłosne. Po dwóch latach, spędzonych w biedzie i tułactwie, młodzi ludzie spostrzegli, że zabezpieczyli na zbyt słabej podstawie szczęście życia całego. Dwoje dzieci urodziło im się w tym czasie, ale i to nie zdołało umocnić węzła, który przez wzajemne rozczarowanie coraz się bardziej osłabiał. Nakoniec za wzajemnem porozumieniem powrócili do Londynu, do ojca pani Shelley, który nie mało musiał być zdziwiony szczerem wyznaniem swego zięcia, że on i jego żona dopiero się teraz poznali na sobie, a właściwie nie kochali się nigdy, że nie mogąc dłużej znosić tych okropnych kajdan i za pomocą prawa rozplątać tego węzła gordyjskiego, postanowili przeciąć go od razu. Życzył więc Shelley żonie wszelkiego szczęścia, a sam także go sobie w innych sympatiach poszukać zamierzał.

To, co tak otwarcie wyznał teściowi, sprawdziło się niebawem. Rozłączony z żoną, szukał nowej sympatii i w rok później znalazł ją w pokrewnej sobie duchem istocie. Córką Godwina i Wolstonekraft, ta sama Marya Godwin, która wydała dzieło pod tytułem: „Prawa niewiasty“ była równie jak Shelley w niezgodzie z swoją rodziną z przyczyny swego niezależnego usposobienia i zbyt śmiałych opinii o stanowisku kobiety. Ta równość położenia, równie jak i sympatia uczuć, zbliżyła ich do siebie i złączyła serdecznym uczuciem przywiązania, które, oparte na silnych podstawach, miało tym razem towarzyszyć Shelleyowi aż do grobu. Lecz życie w tak nienormalnych stosunkach było bardzo przykrem w Londynie dla obojga, więc opuszczają ojczyznę i zwiedzają Genewę, Como i Wenecję. W r. 1816 znajdujemy ich w Bath, gdzie ich dochodzi smutna wiadomość o samobójstwie żony Shelleya, w skutek obłąkania. Ta wiadomość tak bolesne zrobiła na nim wrażenie, iż się śmiertelnie rozchorował i tylko tkiwe starania Maryi Godwin zdołały go ocalić od śmierci.

Zaledwo powrócił do zdrowia, Shelley sądził, iż powinien się upomnieć o opiekę nad dziećmi. Ale ta reklamacja sprowadziła go przed trybunał, gdzie arystokracja, tyle razy przez niego zaczepiana, stanęła naprzeciw niemu w osobie lorda Elton'a, głównego torysa i jednego z tych lordów-kancelerzy, którzy byli najzaciętszymi przeciwnikami prasy radykalnej. Wyrok, przez który lord-kancelarz odrzucił żądanie Shelleya, był surową odpowiedzią na przesadzane wymagania republikańskie w „Królowej Mab.“ Z przeczornością, właściwą prawnikom, lord Elton nie opiera wyroku na osobistej konduicie poety, ale na jego usiłowaniu, by wprowadzić w czyn niemoralne zasady, które w swych pismach rozszerza. Widać, że teoria więcej, niż praktyka, doktryny więcej, niż czyny, oburzały i gniewały zacnego lorda. Ten wyrok trybunału angielskiego, pomimo, że gniewał i oburzał Shelleya, przywiódł go jednak do tego, że będąc przez śmierć Henryki uwolniony od krępujących go więzów, nie chcąc zasługiwać na wyrzuty życia niemoralnego, zaślubił z wszelkimi formalnościami ukochaną Maryę Godwin. W skutek tego pojednał się także z swą rodziną.

Podczas swego pobytu ostatniego w Anglii w r. 1816 i 1817 Shelley wydał swój piękny dramat „Rewolucja Islamu.“ Było to właściwie pierwsze, zwracające na siebie uwagę publiczności, dzieło młodego autora, bo „Królowa Mab“, jak wiemy, wydaną tylko w kilkunastu egzemplarzach z początku została. W przedmowie do tego dzieła protestuje on wyraźnie przeciwko wszelkiemu porównaniu jego poezji z poezją współczesnych mu pisarzy, przez co rozumie niewątpliwie Byrona, którego tendencje prawie tak samo się objawiały. Na końcu przedmowy powiada: „Jest pewne wychowanie poetyczne, bez którego choćby najznakomitszy talent nigdy się dostatecznie rozwinać nie może. Takie wychowanie odebrałem wśród przygód burzliwej mej młodości. Od dzieciństwa żyłem wśród gór, jezior i samotnych lasów. Niebezpieczeństwa, grożące nad brzegami przepaści, towarzyszyły moim dziecięcym igraszkom. Później chodziłem po lodowcach alpejskich i żyłem wśród wspaniałej gór tych przyrody. Przebiegałem, jako błędny wędrowiec, dalekie krainy, żeglowałem po rzekach i morzach. Z łodzi, na której spędzałem dni i nocy, widziałem wschodzące i zachodzące słońce, i przypatrywałem się gwiazdom, jaśniejącym na niebiosach przestworzu. W ludnych sióлах postępowałem z ruchem gwarliwego tłumu. Przechodziłem ziemię, którą wojna i tyrania zniszczyła, widziałem miasta i chaty spalone, gdzie zgłodniała nędza rozpościerała się w całej swej brzydocie na szczątkach i gruzach czerniałych, świetnych niegdyś pałaców. Lecz najbardziej lubiłem obcować z geniuszem starożytności. Poezja Greków i Rzymian, jako i własnych praojców, miały dla mnie ten sam pociąg i te objawienia, co i piękności przyrody. Oto są źródła, z których mą wiedzę czerpałem.“

Po strasznym wyroku, wydzierającym mu prawa nad dziećmi, opuścił Shelley kraj swój na zawsze. W r. 1817 znajdujemy go w Rzymie, gdzie napisał swą tragedję:

„Beatrice Cenci“ i „Prometeusz rozkuty“. Później przeniósł się do Neapolu, gdzie powstał jego poemat „Helena“ i „Rozalinda“ i dramat liryczny, wywołany przez zajścia rewolucyj greckiej.

Jego duch niespokojny, a może tęsknota za ojczystą ziemią nigdzie mu długo nie dozwalały się zatrzymywać. Z Neapolu udał się do Pizy, stąd znów do Livorno w Toskanii, a stąd do Genewy, gdzie kilka miesięcy razem z lordem Byronem przepędził. Pomiedzy Byronem a Shelleyem istniała niejaka wspólność idei i wspólność nieszczęść. Mieli równych nieprzyjaciół. Obadwaj zerwali węzły małżeńskie, zawarte bez zastanowienia, obadwaj występowali przeciwko prawom i religii swego kraju, obaj ponosili wzgardę i nienawiść, jakimi mści się społeczeństwo na tych, którzy mu złorzeczą. Równe, dobrowolne wygnanie łączyło ich wrzście na gościnnej ziemi szwajcarskiej. Odnaleźli się tu z równym dla siebie uwielbieniem i w równych warunkach bytu.

A jednakże w właściwym usposobieniu umysłów zachodzi wielka różnica pomiędzy tymi dwoma koryfeuszami swego czasu. Shelley był daleko śmielszy w swych pismach, daleko ostrzejszy w swych postępkach. Lubo sceptyk i stronnik nieograniczonej wolności, Shelley nie byłby nigdy stał się lekkomyślnym uwodzicielem, opuszczającym nielitośnie ofiarę chwilowego kaprysu, jak się to często zdarzało Byronowi. Rzum jego był fałszywie oświecony, wolnomyślność jego zasad pochodziła z nieszczęśliwego kierunku, jaki studiom jego nadano, ale materyalizm w praktyce, zepsucie, samolubstwo i oziębłość, zwykłe z takiego kierunku wypływające, nie zdołały zarazić jego serca. Jego wybryki wypływały jedynie z inteligencji, dręczonej niedościgłymi żądzami; upojenia swe czerpał w ucieśnieniach poetycznych, w pilnem ślęczeniu nad nauką, w tym nadmiarze czytania, które przejmując egzaltacją, lubo po nim często niesmak i zniechęcenie następuje. Jako poeta, Shelley odważał się na wiele, jako człowiek nie występował nigdy z granic przyzwoitości, chociaż ją nawet może za niepotrzebną uważał. W jego pismach znajdujemy miejsca równie bluźniercze, jak w dzisiejszych pismach Straussa, Vogta, Darwina i tylu innych; usty jednak nie wymówił nic takiego, coby było mogło oburzać uczucie dobrego chrześcianina, lub wywołać rumieniec na licu kobiety. Postępowanie Byrona, który np. w Wenecji miał za kochankę prostą przekupkę, a ta — gdy ją zdradził, przyszła pod okna jego pałacu z płaczem i krzykiem, wyzywając go w najgminniejszych wyrazach, oburzało Shelleya i często robił energiczne wymówki przyjacielowi za jego zbyt fantastyczne wybryki.

Gdy Shelley połączony został nakoniec z kobietą, równą mu co do serca i rozumu, gdy nakoniec życie jego na spokojne weszło tory, nie znajduję w nim nic — a nie było one wcale tajemnem — coby było godnem nagany. Czyż zaspokoilo się u niego nakoniec to pragnienie ideału? — Nie, ale zmieniło się i czystszych zaczęło szukać źródeł. Odtąd nie ma już w pismach Shelleya ani jednego wiersza, któryby objawiał nawet życzenie niestałości, albo przecuwanie nowych płomieni. W czasach, w które te wspomnienia nas przenoszą, los z początku dla poety tak srogi, poprzestał go przesładować. Śmierć jego dziadka i niewyraźny kodycyl w testamencie jego, który byłby mógł sprowadzić długi i zawikłany proces, skłoniły ojca Shelleya do złagodzenia surowości swych dawniejszych decyzji. Wyzaczył mu więc rocznej pensji 20,000 franków, która to suma zabezpieczyła życie niezawisłe młodej parze. Na pięknej włoskiej ziemi, gdzie nawet ubogiemu łatwiej żyć szczęśliwie, pensja ta wystarczała nietylko na życie w dostatkach, ale i na spełnienie niejednego dobrego uczynku.

Shelley lubił nad wszystko żeglugę. Od lat najmłodszych objawiło się w nim to upodobanie prawdziwie angielskie. Będąc jeszcze w domu rodzicielskim, spędzał dni całe w łódce, a w Etonie i Oksfordzie fabrykował czółenka z różnych materyali i puszczał się w nich na wodę. Później przepływał Ren na tych olbrzymich tratwach, spławianych przez trzystu wiosłarzy, które przewożą do Holandii drzewo, do Anglii wino — i na których podróżowały

wówczas tłumy ludu. Raz w pobliżu wyspy Man, inny raz pomiędzy Dovrem i Calais puściwszy się w łodzi, zaledwie nie utonął. W Mont-Allegro przepędzał całe nocy na jeziorze. W jednym z swych poematów lirycznych opisuje swą żeglugę na piaszczystych falach Serchio i wylądowanie u stóp zielonego pagórka. Później, zamieszkawszy stale na brzegach zatoki de la Spazzia, dokąd mu towarzyszył „drugi kochanek morza“, utrzymywali wspólnie wielką łódź przerobioną na „szalupę“, i wywiczzonego majtka, który ich wozil po zatoce. Ta szalupa zbudowana była w Genewie umyślnie dla Shelleya i stała się jego ulubioną rozrywką, aż do chwili, w której miał przez nią utracić życie.

Od roku 1822 Shelley w połączeniu z Byronem i słynnym późnie literatem Leigh-Hunt'em wydawał czasopismo „The liberal“, w którym to była najpierw wydrukowana gorzka satyra Byrona na panowanie Jerzego III. p. t. „The vision of judgement“. Całe to wydawnictwo było nieudaniem przedsięwzięciem, bo wszyscy trzej znakomici literaci nie zdołali go uczynić popularnem. Na końcu Czerwca tegoż roku przybył Leigh-Hunt z Londynu do Livorno, by się w sprawach wydawnictwa porozumieć z swymi, na włoskiej ziemi mieszkającymi, współpracownikami. Shelley dowiedziawszy się o jego przybyciu, siadł do swojej szalupy i pospieszył na jego powitanie w towarzystwie swego wiernego majtka. Panią Shelley choroba wstrzymywała od tej przejażdżki, która nie była ani zbyt długa, ani męcząca, bo zaledwie pół dnia trwała. Spędziwszy cały tydzień w Livorno z swym ziomkiem, Shelley dnia 8 Lipca udał się znów z wiernym majtkiem na morze, aby do Villa-Magni powrócić. Pomimo, że wiatr był lekki i pomyślny, Trelawnay, awanturczy kolega lorda Byrona, chciał przewieźć ich na statku Bolivar, najętym przez autora „Korsarza“,*) a dowodzonym godnie przez autora „Kadeta“,**) ale w skutek opóźnienia się kilku pasażerów, Bolivar wstrzymany został w przystani i Shelley puścił się w swej wątej szalupie na morze. Podług opowiadania Trelawnaya już wtenczas, gdy Shelley odbijał od brzegu, zaczęły się na zachodnim widnokręgu ukazywać ciemne chmury. Mały statek znikł wkrótce wśród gęstej mgły, wróżącej nadchodzącą burzę.

W pół godziny potem podniósł się gwałtowny wicher. Całe morze Śródziemne było wzburzone. Kapitan Medwin, który żeglował wtenczas z Neapolu do Genewy i którego ta straszliwa burza zaskoczyła w drodze, porównuje wyziewy siarczane zasłaniające niebo i ziemię, do wybuchów wulkanicznych. Białawy pieniały się piętrząc ku niebu, deszcz lał strumieniami, pioruny uderzały co chwila i jak kaskady płomieniste spadały na huczącą i pieniącą się wodę. Dalej opowiada, że w chwili, gdy się ta burza rozpoczęła, stojąc na pokładzie i przypatrując się tej straszliwej wspaniałości przyrody, ujrzał małą szalupę, w której rozpiętych, włoskich żaglach poznał zaraz jeden z tych „pleasure boots“, (statek dla przyjemności), które Anglicy po wszystkich morzach świata roznoszą. Nagle za jednym uderzeniem białwanu zniknęła mu z oczu.

Trelawnay pewien, że Shelley powrócił do Livorno, pobiegł, gdy burza minęła do Leigh-Hunta, spodziewając się zastać go tamże. Ponieważ stało się inaczej, więc zaniepokojeni przyjaciele napisali natychmiast do Villa Magni, dowiadując się, czy Shelley powrócił. Odpowiedź pani Shelley wzmogła jeszcze więcej ich niepokój. Nie miano tam żadnej o nim wieści. Kilku posłańców, wysłanych w różne nadbrzeżne miejscowości, gdzie mógł być się schronić przed burzą, powróciło z niczem. Trelawnay, przypominając sobie, że z pokładu Bolivara widział szalupę, kierującą się ku Varreggio, udał się w tę stronę. Tu smutne oczekiwały go wieści: kilka szczątków rozbitego statku morze wyrzuciło na brzeg, lecz nic więcej nie znaleziono. Przeminał cały tydzień w bolesnej niepewności. Nakoniec rybacy w Varreggio znaleźli na wybrzeżu dwa trupy, zmienione do niepoznania. Shelleya rozpoznano tylko po ubiorze i po tytule małej książeczki, którą miał przy sobie. Były to poezye Kats'a, tego wieszczu, w młodym zmarłego wieku, którego

*) Byrona. **) Trelawnay.

nagrobek Shelley przed kilku miesiącami ozdobił pięknymi kwiaty swej muzy, gdzie dziwnie wieszczę objawia się przecucie, że i duchy ich złączą się wkrótce w krainie nieskończoności.

Jak już powiedzieliśmy wyżej, życie i śmierć Shelleya nosi na sobie dziwne jakieś piętno poetyczne. Autor *Alastora**) zniknął wśród burzy, jak Eliasza w historii żydowskiej, lub Romulus w historii rzymskiej, a pogrzeb jego godzien lutni Homera, bo zapalono stos, jak u starożytnych, ażeby kości jego zamienić w popioły. Rzeczywiście przypadek, a nie, jak to niektórzy wnosili, rodzaj brawury antychrześcijańskiej, zniewolił lorda Byrona, Leigh-Hunta i Trelawnay'a, aby oddać na pastwę płomieniom zwłoki Shelleya. Niżsi urzędnicy miejscowi bowiem ze względów sanitarnych nie chcieli zezwolić na wywiezienie tych smutnych zwłok i chcieli koniecznie, aby zostały pochowane na miejscu, gdzie je morze wyrzuciło. Daremnie udawano się do wyższych władz w Livorno i w Florencji, a nawet do ambasady angielskiej, wszyscy zgodzili się na to, iż zwłok tych, już ze-psutych, w czasie zwłazszcza gorąca sierpniowego, nie można na statku przewozić do Rzymu. Po dwóch tygodniach przyjaciele Shelleya postanowili zatem, aby zwłoki spalić, a tylko popioły przewieźć do Rzymu, czego im nikt zabronić nie mógł.

Więc na wybrzeżu, obok ubogiej chaty, służącej za schronienie dla stróżów nadbrzeżnych, ułożono stos z desek i drzewa, wyrzuconych z morza i złożono na nim ciało poety. Lord Byron, Trelawnay, Leigh-Hunt i oficer marynarki, przytomni temu, dorzucają gałązki winnej macicy, oliwne i inne aromatyczne rośliny i wkrótce ogień wybucha, dym wznosi się w obłoki. Zdaje się, jak gdyby dusza poety unosiła się wśród niebieskawych płomieni, a zgromadzeni na to widowisko rybacy kłękają i wznoszą pobożne modlitwy i śpiewy za duszę biednego rozbitka. — Potem trzej przyjaciele Shelleya zebrali starannie jego popioły i w kosztownej urnie zawieźli rzeczywiście do Rzymu, gdzie je na cmentarzu protestanckim pochowano, w obecności wszystkich znajdujących się wówczas w Rzymie Anglików.

Nie jest trudnem zadaniem scharakteryzować poezye Shelleya, bo jego tendencje są wyraźne, a wzory, z których czerpał, wszystkim znane. Grecja, przede wszystkim imponująca wzniosłość tragedii starożytnych, majestatyczna pogoda Platona i Homera, na koniec biblia i jej świętość wschodnia, jej kwieciste obrazy i wieszczę natchnienia, pisma włoskiego Danta, swego ziomka, Milтона; hiszpańskie Kalde-rona, dalej Sziller i Göthe, jako i filozofowie francuzcy, nie jako sceptycy, ale jako filantropowie i apostołowie rozumu, jako wrogowie tyranstwa — oto były ulubione wzory Shelleya. Walczył obok lorda Byrona, lecz z daleko szczerzszym zapalem i sympatją dla ludzkości, jakiej tamten nie zaznał nigdy.

We wszystkich pismach Shelleya, odjąwszy im przypadkowe szczegóły miejscowości i kolorytu, znajdziemy zawsze równie wzniosły jeden, jedyny typ człowieka, który się poświęca, cierpi i umiera dla bliźnich jako męczennik wolności. Takim jest książę Atanay (w jego poemacie wydanym w Marlow r. 1817), który straciwszy nadzieję oswobodzenia ludzkości, staje się przynajmniej opiekunem biednych i uciśnionych. Ta istota idealna przybiera nazwę Laon'a w „Rewolucji Islamu“, i staje się przywódcą ludu, swych praw się domagającego, zaleca ludziom jedność i braterstwo i brzydzi się owym niedorzecznym przestraczem tyranów, którzy go ujarzmiają. To samo widzimy w „królowej Mab“, gdy piękna wróżka pokazuje Jantei w głębi przepysznego pałacu ukrytego z obawy przed zemstą ludu tyrańca, otoczonego strażami nawet w wspaniałej sypialni, podczas gdy ona złorzeczy owym bogaczom, żyjącym z potu i łez bliźnich swoich.

Jednakże przyznać trzeba, że z wiekiem tracą pisma Shelleya wiele z swej pierwotnej goryczy. Podobnie jak

złoto czyści się w ogniu, tak miłość bliźnich Shelleya traci z czasem wiele z obcych sobie żywiołów ironii i nienawiści.

Tyranów, którym dawniej złorzeczył, żałuje tylko później. Zdaje się, jakby te prawdy, których zbłąkany geniusz jego biegł szukać w sferach nieznanach, odnalazł później w zasadach chrześcijańskich, które po wszystkie czasy pozostaną jedyne i nieomyłne.

R. d. 1 czerwca 1881.

ZAUFANIE.

Powieść

HENRYK A. JAMES.

Przekład z angielskiego.

Było to na początku kwietnia. Bernard Longueville, spędziwszy zimę w Rzymie, powracał ku północy. Pewne obowiązki powoływały go za Alpy, lecz niezrównany wdzięk włoskiej wiosny, przykuwał go swym czarem i choć posuwał się w kierunku wytkniętym, każdy piękny zakątek zatrzymał go czas dłuższy, a między innymi zatrzymał się w Sienie, miejscu pamiątek średniowiecznych czasów. Oddając się poważnym studjom, zwykł był podróżować w celach naukowych, a patrząc na świat praktycznie, z każdej sposobności korzystał, aby rozszerzyć koło swojej wiedzy. Przyjaciele uważali go za bardzo uczzonego, choć umysł jego odznaczał się łatwością, właściwą tylko charakterem wolnym od pedantyzmu. Nie lubił samotności i stąd miłym był towarzyszem, a dodać potrzeba, że posiadał błędy i cnoty wręcz sobie przeciwne.

Będąc malarzem z zamiłowania, umiał cenić piękno i gonił za nim. W Siena dość mu było dwóch dni, aby zapoznać się z miejscowymi widokami; dla czegoż zatrzymał się dłużej nad tydzień? on sam może nie umiałby powiedzieć. Nie komfort go przykuwał do tego ustronia, gdzie tylko dwie były austerye, obie brudne i zaniedbane, a jeszcze bodaj czy nie zamieszkał w gorszej. Zaraz nazajutrz po przyjeździe, siedząc przy obiedzie z Niemcem, palącym cuchnące cygaro, dojrzał, jak do drugiej austeryi przybyły dwie panie, z których jedna była piękną i młodą. Nie wątpił ani chwili, że należały do licznych turystek W. Brytanii, a że w charakterze miał dużo galanterii, złorzeczył losowi, iż nim tak źle pokierował w wyborze hotelu; wyobrażał sobie, że jedząc przy jednym stole, z łatwością byłby się zaznajomił z piękną panią. Przez kilka dni następnych co rano spieszył na rynek, czyli obszerny plac z szukać wśród zgromadzonych przekupniarzy i miejscowej ludności pięknych typów krajowych, lecz choć dokoła otaczało go tyle wdziecznych twarzy, nie pociągała go żadna i teka jego pozostawała próżną. Tak minął tydzień cały i artysta, niezadowolniony z siebie i Sieny, zamierzał wyjechać, gdy naraz przyszła mu myśl pójścia w przeciwną stronę miasta, na mały taras ponad starymi murami, skąd droga wiodła do opustoszałego kościółka. Tam widok na góry, taras nad przepaścią i stara kobieta, siedząca w niszy kościoła, zajęły go tak niezwykle, że posiedział godzinę i odchodząc, postanowił powrócić z paletą i pędzlem. Obietnicy dotrzymał i nazajutrz o wczesnym ranku stanął na oznaczonym miejscu. Szybko rozstawił sztalugi, zasiadł na ławie pod kościołem i rozkoszując w okalającej go ciszy, zamyślił się głęboko. Głos dzwonka kościelnego zbudził go z marzenia, a równocześnie usłyszał szmer lekko zbliżających się kroków. — Zaciekawiony, odwrócił się i ujrzał przed sobą piękną młodą osobę, w której poznał natychmiast znajomą z sąsiedniej austeryi. Pewny już teraz, że młoda lady była jego współziomką, z ruchów i wejrzenia osądził, że była niezwykle śmiałą. Przystanąła chwilę, poczem posunęła się naprzód i swobodnie wsparłszy się na galeryi, otaczającej taras, zapatrzyła się w piękną okolicę. Longueville nie zwa-

*) Jeden z najpiękniejszych utworów Shelleya, którego bohater ginie wśród rozruchanych bałwanów.

zając na przybyłą, zamierzał pracować dalej, lecz myśl odbiegła od pięknych widoków i zagłębiła się w spostrzeżeniach nad przybyłą. Prawdopodobnie obie z matką przyszły do kościoła i w czasie, gdy starsza dłużej oddawała się modlitwie, młodsza, podziwiając piękną naturę, składała tutaj hołd Stwórcy. Patrzała w dal, w ten sam krajobraz, który Longueville odmalować postanowił. Zrazu zdawało mu się, że, zazdrosna widoku, nie chce, aby go zdjął na płótno i dla tego zasłania go sobą, ale następnie pytał sam siebie, czy go pięknnością swoją nie zapragnęła podnieść, bo zwolna, zamyślona, odwróciła się profilem ku malarzowi, a wsparta jednym ramieniem o galeryę, drugą rękę spuściła niedbale i stała nieruchoma, jakby pozować miała. Profil jej narysował się w świetle rannem, oświetlony wdzięcznym kapelusikiem, który osłaniał jej włos bujny, a ciemny. Twarz jej promieniała. — Wsparta o galeryę, pochyliła się z lekka, a z pod czarnego okrycia, wysunęły się fałdy zielonej sukni. Zdawała się zapatrzoną, zamyślona o czemś wzniósłemu. „Czyż ona umyślnie dla mnie ustawiła się tak wdzięcznie?” pytał Longueville sam siebie. „Dla mnie, czy nie, rzecz obojętna; byle minut kilka tak stać chciała, skorzystam, aby upiększyć mój obraz.” Niestety, młode dziewczę nasycało się prędko pięknym widokiem, wyprostowała się i postąpiła naprzód, a idąc ku drzwiom kościoła, powtórnie musiała przejść obok Bernarda. Za jej zbliżeniem podniósł się i on, trzymając rysunek w rękę. Ona z lekka spojrzała na niego tem samem wejrzeniem, które już raz wydało mu się tak śmiałym.

— Jak wielką krzywdę wyrządziłaś mi pani, poruszając się z miejsca, odezwał się po angielsku — tak byłaś Pani piękną, dodał.

Przystanąła, spojrzała dumnie, a ciemne, inteligentne jej oczy spoczyły dłużej na mówiącym. Czy się zacerwieniła, nie wiedzieć, lecz zdała się Bernardowi załękniom, choć odpowiedź jej nie oznaczała bojaźni.

— Czy sądzisz Pan, żeś miał czas przyjrzeć mi się dostatecznie?

— Zapewne że nie! a tak bardzo pragnąłbym szkic mój uzupełnić.

— Modelem klasycznym nie jestem, odparło młode dziewczę.

— Rzeczywiście, lecz to już rzecz moja: przerwał Longueville. Nie żądam, abyś się Pani przeistaczała.

Młoda panna żart przyjęła obojętnie i zwróciła się w milczeniu, a milczenie jej poważne nowy nadało zwrot myślowi Bernarda. Zaciekawiała go i ten raz już z pełnym szacunkiem ozwał się do niej.

— Może zbytętnie liczę na wspaniałomyślność Pani, lecz żądam tylko aktu miłosierdzia, daruj mi pani pięć minut, jako jałmużnę, rzuconą włoskiemu żebrakowi.

Cofnęła się z lekka, szkic jej podawany upadł, a gdy Longueville spojrzał na nią z uśmiechem, przystanąła znowu i patrząc, jak na dziwaka, wesoło, śmiało zawołała:

— Pragnę pójść do mej matki.

— Gdzież jest matka pani? zapytał Longueville.

— W kościele; sama nie przychodziłabym tutaj.

— Naturalnie, ale kościółek ten tak miły, że matce pani dobrze w nim być musi, zapewne zatopiła się w modlitwie, poczekaj pani pięć minut, a wdzięczność moja należeć się jej będzie.

— Młodzieńcowi nie zależało na obrazie, w imieniu którego tak błagał natarczywie, lecz gorąco zapragnął, aby nieznajoma uległa jego prośbie.

Panna raz jeszcze spojrzała na szkic niedokończony i spytała znowu.

— Czy malujesz pan równie dobrze, jak rysujesz?

— Dużo mam talentu, wyrzekł śmiejąc się, ale przekonasz się pani o tem najlepiej, gdy ujrzysz rzecz skończoną.

Zwolna zwróciła się ku tarasowi.

— Co prawda, masz pan wyłączny talent, aby mnie skłonić do zadość uczynienia fantazyi pańskiej i mówiąc to, powróciła na miejsce, gdzie stała pierwotnie. Longueville chciał pójść za nią, aby jej wskazać postawę, jaką przybrać miała, lecz wstrzymała go zawczasu, przypominając, że

tylko pięć minut zostaje mu do rozporządzania. Cofnął się więc do sztalug, a ona przejęta swą rolą, stanęła, jak poprzednio, zapytując swobodnie: Czy dobrze?

— Prześlicznie! brzmiała odpowiedź artysty, który z zadowoleniem patrząc na nieznajomą piękność, szybko posuwał pędzlem: — Niezrównanie pani łaskawa!

— Jeżeli mam służyć za model, to już chcę dobrze, odparła po chwilowem milczeniu.

— Stoisz pani prześlicznie! powtórzył Longueville poczem nastąpiło zupełne milczenie i przez kilka minut słysząc już tylko było poruszenie pędzla. W rzeczy samej młoda lady ustawiła się prześlicznie, a było jej to nie trudnem, gdyż pięknem była stworzeniem. Longueville zostając pod urokiem jej wdzięku i tej niezwyklej swobody, podziwiał ją, nie pytając, kto ona, uznając, że śmiałość jej nie była pospolitą śmiałością, lecz oznaką oryginalnego, a ciekawego charakteru. Pewny był, że miał przed sobą nie tylko lady w całym znaczeniu tego wyrazu, ale nadto lady niezwykle rozumną, to też pędzel jego nadał jej właściwy charakter. Gdy ostatnie dorzucał cienie, tuż przy nim zjawiła się matka nadobnego modelu. — Pominęła go szybko i zbliżyła się do córki.

Była to mała, delikatna osoba, śliczna choć nie młoda, oczy miała bardzo piękne, a nad niemi zwieszały się loki, niby z załotności poprzone siwizną.

Pięć minut ubiegło, Longueville podnosząc się z miejsca, zbliżył się do pań obu, z obrazem w rękę.

— To mój portret, mam! zawołała młodsza, ten pan mnie malował.

— Malował? powtórzyła matka, skądże tak nagle? niespodzianie?

— Bardzo nagle, bardzo niespodzianie! rzekła, śmiejąc się córka.

— Uwzględniając krótkość czasu, zdaje mi się, praca moja powiodła się jak najlepiej, ozwał się tymczasem Bernard, podając obraz starszej pani, która ciekawie zaczęła go oglądać, a zwracając się do młodszej, dodał: — Niezrównanie wdzięczny pani jestem.

— I słusznie mi pan dziękujesz, odparła młoda dziewczyna, gdyż bezprawnie rozpoczęłaś pan mój portret.

— Pokusa była zbyt wielką, abym miał się jej oprzeć, tłumaczył się Bernard.

— Tylko chcieć, a każdej pokusie oprzeć się łatwo; zresztą mogłaś mnie pan poprosić, abym się usunęła.

— Lękałem się, że mi pani odmówisz, a zasłaniałaś pani wybrany mój widok.

— Gdybyś pan był rzekł słowo, natychmiast byłabym się usunęła.

— Nie chciałem pani robić przykrości, byłoby to wyrażeniem jej krzywdy.

Panna spojrzała na artystę, poczem dodała:

— Tak, byłoby mi przykro, lecz czy to, coś pan uczynił, przyjemniejszym dla mnie?

— Prześlicznie, wyszeptwała tymczasem starsza pani, oddając obrazek malarzowi.

Córka, nie spojrzawszy nań wcale, mówiła dalej:

— Postaram się jak najszybciej zapomnieć tę chwilę mego życia, niemiłą mi rola, w jakiej występowałem tutaj.

— Obyś pani nigdy nie była w gorszej, zasyczał Bernard. Mam nadzieję, matka pani lepiej ją oceni, a zwracając się do starszej pani, która spoglądała na przemian to na córkę, to na obraz, dodał: Nie prawdaż? zechcesz pani zaszczyścić mnie przyjęciem tego obrazka? zdaje mi się, że córka pani wiernie na nim oddana.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję, lecz nie śmiem go przyjąć, cichym głosem odparła, robiąc ruch, zdradzający chwiejność.

— Będzie to rodzajem przeproszenia za śmiałość moją, dodał Longueville, szybko zdejmując obraz z ram drewnianych.

— Tem gorzej, że chcesz go pan nam darować, wtrąciła młodsza.

— Ależ, droga moja, doskonały on przecież! z zapamiętaniem zawołała matka. Nie możesz być lepiej zrobiona. O-

statniej uwagi nie dosłyszał Bernard, niemile dotknięty słowami córki. Nie były one całkiem niegrzeczne, ale nieuprzejme. Zdało mu się, że chce grać rolę dręczycielki, a pewny jej rozumu:

— Dla czego tem gorzej? — zapytał, licząc na szybką odpowiedź.

— Dla tego samego, iż pan chcesz darować mój portret, odrzekła z wolna, namyśliwszy się chwilę.

— Daje go matce pani, odparł Longueville, lecz odpowiedź jego nie przekonała młodej lady:

— Sądziłam, że służę panu do studyów, mówiła szybko, a studia tylko malarzowi samemu przydatne być mogą. Jedynie tłumaczyćby pana mogła jego sprzedaż i osiągnięte stać korzyści materialne.

— Przypuśćmy, że ciężko zawinił, przerwał Bernard, w każdym razie nie chciej pani wątpić o moim szacunku, dodał, zwracając się do starszej lady.

— Podziękuj, mamó, gdyż do ciebie się to odnosi, odparła młodsza i postępując kilka kroków naprzód, zostawiła matkę z artystą.

Matka z obrazem w ręku i uśmiechem na ustach, jak gdyby chciała wszystko pogodzić, rzekła z cicha: Bardzo piękny i jeżeli panu zależy, abym

— Uważać to będę za największy zaszczyt, przerwał Bernard.

— A zatem zabieram go i dziękuję bardzo, odparła uprzejmie, patrząc na córkę, idącą przodem, to na Longueville, który równocześnie osądził, że matka kapryśnej dziewczyny jest miłą, prawdopodobnie kwakerką.

— Córka moja musiała się wydać panu dziwaczką, ozwala się uprzejmie.

— Przeciwnie, pani, istotą pełną wdzięku, odparł Bernard.

— Bardzo jest rozumną, dodała matka.

— Niezrównanie uroczą.

— I bardzo dobrą, kończyła nieznajoma.

— A że szczerą, wątpić trudno, dorzucił młody człowiek, gdy towarzysza jego oddawszy mu ukłon, podążyła za córką. Jeszcze chwilę popatrzał za odchodzącymi, a gdy znikły, powrócił do zamierzonej pracy. Lecz choć krajobraz roztaczał się przed nim w najpiękniejszym świetle, chociaż stara kobieta, jak wczoraj, siedziała w niszy, pędził tak uporczywie wypowiadał posłuszeństwo, zerzucił go w końcu, przekonawszy się, iż staruszka nie ma klasycznych rysów i . . . że całkowicie brak jej pięknego profilu.

II.

Dwa miesiące minęło, a Bernard Longueville był jeszcze we Włoszech. Nie był to człowiek, liczący się z planami, robił je, jak wielu innych, tak sobie, a że miał szczególny dar zastosowania się do okoliczności, nie uważał za coś zdrożnego, gdy odstępował od powziętych zamiarów. Do Wenecji przybył na tydzień, bawił w niej już dwa miesiące i nie myślał wyjeżdżać, gdy nagle z miłego uspienia zbudził go list przyjaciela. Gordon Wright zimę spędził w Dreźnie, a obecnie wzywał przyjaciela do Baden-Baden. List jego nie był długi, mniej więcej tej treści:

„Znasz Baden-Baden, wiesz zatem, że miasto ładne i miłe. Prawdopodobnie spędzę tu całe lato; porobiłem znajomości, zależy mi na tem, aby zapoznać Cię z niemi, bądź więc tak dobry, przyjeżdżaj. W nagrodę podziwiać będę włoskie twe malowidła, nie mogąc w zamian niczem się poszczycić, ale i do niczego nie miałem czasu.

Ciekawys, czem jestem zajęty. Miłością. Tak jest, miłością, która zabiera mi dzień cały i dotąd nie mogłem znaleźć chwili, aby pisać do Ciebie, bo pochłania mi ona wszystkie dnia godziny. Nie powiem, aby mi z tem było dobrze, lecz cofnąć się już nie chcę. Cóż powiesz, że nawet nie stało mi czasu, aby zbadać moje własne położenie i do tego właśnie potrzeba mi twojej pomocy. My, wielcy chemicy, żadnych doświadczeń nie robimy bez pomocy zwykłego śmiertelnika, który w celach naukowych, badawczych,

oparza sobie palce i niszczy odzienie bez żadnej osobistej korzyści. Otóż pragnę, abyś był moim pomocnikiem, a czekając Cię przykrości zapewne nie odstraszą od przyjechania. Przedmiot mojej miłości jest osobą niezrównanie zajmującą; bardzo rad będę, gdy ją poznasz. Ciekawy jestem, co o niej powiesz? I ona poznać Cię pragnie; dużo mówiłem Jej o tobie, z samej wdzięczności powinienes przyjechać. Lecz precz z żartami! mówię Ci szczerze, potrzeba mi twojego zdania, ciekawy jestem, jakie ona na tobie zrobi wrażenie, czy przejmie Cię jej widok. Nie żądam od Ciebie rady, wiem z góry, żebyś mi jej odmówił, ale pragnę, abyś ją określił, scharakteryzował. Wszakże to umiesz. Na co to wszystko kreślę, nie wiem, . . . chyba przez stare nawyknięcia, wypowiadania Ci całej prawdy. Nauczyłem się mówić szczerze, a potem, jam nigdy nie znał kobiet, a zawsze wierzyłem, że ty je znasz doskonale, zatem przyjeżdżaj jak najspieszniej, daj dowód, że zawsze na Ciebie liczyć mogę. Bardzo jest przystojna.

Twój W.“

Wezwanie przyjaciela tak bardzo zabawiło Bernarda, iż natychmiast opuścił Wenecję, a jeżeli czytelnikowi może list Gordona Wrighta wydać się dziwnym, to dla Longueville był charakterystycznym obrazem usposobienia jego, owej jemu tylko właściwej żądzy chemicznego rozbioru, geometrycznego poglądu nawet na przedmiot miłości. — Wyrobuję sobie o niej zdanie, a wyrazić je nie będzie mi trudno, kochany Gordon uwierzy mi na oślep, myślał Bernard w drodze do Niemiec.

Przyjaźń dwóch młodzieńców sięgała czasów szkolnych, a musiała być dość silną, kiedy przetrwała burzliwe lata pierwszej młodości, choć przyznać też trzeba, że dotąd nie zostali wystawieni na żadne próby. Życie ich nie miało nic nadzwyczajnego, upływało bez wstrząśnień. Upodobania, poglądy, całkiem mieli odmienne, a jeden o drugim wysokie miał wyobrażenia. Obadwaj arcywilizowani Amerykanie, urodzeni w dostatku, nawykli do dobrego bytu, nie pragnęli jednakże bogactw.

Gordon, majątniejszy, zajmował się chemią i w otoczeniu uczonych rozszerzał wiedzę, opłacając drogo doświadczenia studia, a że pracował pilnie, słusznie należało mu się uznanie, które dzielił i Bernard Longueville. Przyczyn przywiązania jego do Gordona oznaczyć trudno, bo niełatwo odgadnąć tajemnicę osobistych sympatii; miał on największą cześć dla pięknych zalet Gordona, dla jego wyższej nauki, dla jego zwykle skromnych, a rzewnych uczuć męzkich.

Gordon Wright miał czułe serce, a silną wolę, zalety, które, gdy się łączą z umysłem podniosłym, stanowią podstawę najpiękniejszych czynów. Wyobraźnia jego nie była bogatą, w każdym jednak razie nie zbywało mu na inteligencji. Bernarda Longueville określić łatwiej. Zalety jego były widoczniejsze. Mógł tak dobrze podobać się przy pierwszym spotkaniu, jak po dobrej znajomości. Natura obdarzyła go hojnie: wysoki, zręczny, brunet, był ujmującej powierzchowności. Mógł zrobić niejedno głupstwo, a darować mu było łatwo, bo niedoręczności nigdy nie posunął za daleko. Utalentowany niezwykle, ukończywszy studia, przeszedł na prawo, którego słuchał przez trzy lata, a choć w czasie tym nabył wiele wiadomości, nie użył ich w kierunku praktycznym. Naprawdę pytano go, czemu nie korzysta z nabytej wiedzy, pytanie to zostawało bez odpowiedzi, a czynami okazywał tylko, że dobrze umie używać życia na sposób sobie właściwy. Niezawodnie nie było to żadną karierą, ale powiedzieliśmy wyżej, iż konieczność nie zmuszała go do pracy, nie potrzebował sobie obierać zawodu. Bądź co bądź, był on znakomitym towarzyszem; rozumny, hojny, szlachetny, posiadał jeszcze i tę miłą, zewnętrzną zaletę, którą nazywamy dystynkcyą.

III.

Bernard w liście do przyjaciela nie oznaczył dnia swego przyjazdu, to też przybywszy do Baden-Baden wieczorem,

nie zastał go w domu. Pewny, że Gordon zabawia się w Kurhauzie, szybko zjadł obiad, oczyścił się z pyłu podróżnego i pospieszył w pogoń za nim.

Baden-Baden, owe wielkie niemieckie wody, niezawodnie są jednym z najpiękniejszych zakątków Europy, a kilka lat temu, za czasów rulety, przedstawiały wieczorem czarujący widok. Świątynia hazardu skromnej budowy, jak gdyby była poświęcona bogini niewinności, gorzała światłem. Okna jej otwarte szeroko rzucały jasne promienie na otaczający ją ogród i gaje. Mała rzeczka, biorąca początek w górach Czarnego Lasu, okrążała piękne domy i hotele, orkiestra wyższego pawilonu przygrywała miłośnikom natury, którzy nad ponętą złota przekładając świeżość pięknego wieczoru, na terasie zabawiali się rozmową. Gwiazdy, błyszczące nad górami, zdawały się przyglądać zebranym gościom. Longueville popatrzywszy chwilę na piękne otoczenia, wszedł do salonu, sądząc, że Gordon chciwy wszelkiego rodzaju studyów, czyni spostrzeżenia nad stosami złota; lecz szukał napróżno, nie było go między tłumem cisnących się do koła stołów, przeszedł więc na teras i tutaj zaczął się rozglądać. Nagle przystanął, ujrawszy twarz, którą pewny był, że widział kiedyś. Gdzie spotkał tę wiekową panią o miękkim, siwym włosie, z wyrazem nieśmiałości, a badającym, z razu przypomnieć sobie nie mógł, lecz wkrótce przyszedł mu na myśl piękny Włoch zakątek i nie wątpił, że ma przed sobą matkę niezrównanego swego modelu, który prawdopodobnie musiał także być gdzieś w pobliżu. Dokoła przebiegł oczyma, ale zamiast pięknej lady spotrzegł szerokie plecy Gordona Wrighta, który, siedząc obok jego znajomej, zajęty był rozmową z młodą panią. Po cichutku Bernard zbliżył się do przyjaciela i z lekka wsparł rękę na jego ramieniu, a gdy ten odwróciwszy się szybko, powitał go okrzykiem radości, skorzystał z tej chwili, by spojrzeć na panią, siedzącą opodal. Nie była to bohaterka z Siena.

— Zawsze ten sam! zawołał Gordon, zjawia się niespodzianie gdzieś za plecami. Pozwól, że cię przedstawię pani Vivian i pannie Blance Evers.

Bernard obu paniom skłonił się uprzejmie i zajął oznaczone mu miejsce, lecz milczał, nie wiedząc, czy mu wypada przypomnieć starszej pani spotkanie z nią w Siena. Zdało mu się, że i ona go poznała, zatem sądził, iż pierwsza przypomnieć mu je zechce. Lecz pomylił się, poważna pani rozpoczęła rozmowę ogólnikową uwagą, że nie lubi żadnych niespodzianek i zawsze naprzód woli wiedzieć o przybyciu czystem.

A jednak zapewne nie zawsze unikać ich pani zdołała, zauważał Longueville chcąc jej w ten sposób przypomnieć zdziwienie, jakiego niegdyś doznała, zastając córkę, służącą mu za model.

— Już to mnie w życiu nie nie minęło, ani złe ani dobre, odparła p. Vivian, a Gordon szczerze rad przyjacielowi, raz jeszcze serdecznie dłoń mu uściśnął. Twarz jego promieniała zadowoleniem, lecz głębszego uczucia dopatrzeć było w nim trudno. Włos krótki, bujny, oczy jasno zielone, cera rumiana, zdrowa, nie nadawały mu pozoru romansowego i Bernard napróżno pragnął na razie zbadać stan jego duszy. Nie umiał nawet odgadnąć, czy pani, siedząca obok, jest, lub nie, przedmiotem miłości Gordona. Jakąż wtedy rolę grała tu jego znajoma? Czyżby to miała być jej młodsza córka? Tak całkiem innych rysów!.. Co raz więcej pragnął dowiedzieć się nazwiska pani swej myśli, a zauważywszy, że matka jej wciąż zwraca wejrzenie w jedną i tę samą stronę, domyślał się, że i ona zjawi się wkrótce. Na oczekaniu przyglądał się młodej panience, którą Gordon wesoło zabawiał, a która, przypuszczając, była rzeczywistym jego ideałem. Była to w całym znaczeniu młoda Amerykanka, o ślicznych modrych oczach, o włosach brązowych z połyskami złocistym. Postać miała wysmukłą, z lekką zaokrągloną, ruchy zgrzeczne. Drobna rączką odrzucała swawolne puki włosów, mówiła dużo, śmiała i z wielką pewnością siebie. Zaledwo Longueville zapytał, jak dawno bawi w Baden-Baden, zaraz zwróciła się ku niemu i zalotnie poczęła szczerbiotać:

— Pięć tygodni bawię tutaj, a czy to się zowie długo, nie wiem, gdyż czas uchodzi mi aż zbyt szybko. Poznałyśmy mnóstwo osób i coraz więcej robimy znajomości. Dziś do nich i pana zaliczyć muszę.

— Czy znasz mnie już pani?

— Tak dużo nasłuchałam się o panu...

Po chwili prawła dalej:

— Mamy tu Anglika, kapitana Lovelock. Ja zostaję pod opieką pani Vivian, matka moja pojechała do Marienbadu i poleciła mi dla dobrego jej wpływu towarzyszyć jej wszędzie. Już odczuwam na sobie ten wpływ zbawienny. Opiekunka moja sama może powiedzieć panu, jak zawsze staram się postępować podług jej życzenia. Bardzo tu miło, mamy własne kółko, chwilowo braknie zeń dwóch osób: panny Vivian i kapitana Lovelock'a. Znasz pan pannę Vivian? Podziwiają ją wszyscy.

Bernard słuchał panny Evers z rzeczywistym zajęciem, wprawdzie nie z tem, które oznacza wyższe uznanie, lecz które świadczy, że miłszy mu był ten wdzięczny szczerbiot panieński, nad poważną rozmowę mężką. Słuchając miss Evers, rozmaite czynił spostrzeżenia, a mianowicie, że są dwa rodzaje młodych dziewcząt: przenikliwie odgadujące i niedomyślające się niczego, nieświadome. Pupilka pani Vivian należała do pierwszych, czyli do rzędu kokietek. Do kogo się odwróciła, starała się zająć go wejrzeniem, ruchem, seknem zmianami głosu, a cała ta przebiegła strategia przedstawienia się jak najlepiej, tak była otwartą, naturalną, tak pełną wdzięku, że Bernardowi zdawało się, że młode panny, aby się podobać, powinny się właśnie przedstawiać w tak naturalnym świetle. Trzeba tylko dodać, że Bernard patrzył tutaj oczyma Gordona i że przy świetle wieczornem, a raczej gazowem, każda kobieta lepiej się wydaje.

Miss Blanka Evers spoglądając w tę i tamtą stronę, schwyłała wejrzenie Bernarda w chwili, gdy tenże dojrzał nadchodzących, Miss Vivian i kapitana Lovelock. Na widok ich podniósł się bezwiednie, a w pamięci jego zarysowała się owa chwila, w której piękny profil nieznanym zdejmował na płótno.

— Nadchodzi panna Vivian! ozwał się Gordon, podnosząc się, by jej zrobić miejsce przy matce. Stała przed nimi, z lekka się uśmiechając; nagle spojrzenie jej spoczęło na Longueville'u. Wejrzenie to pierwotnie otwarte, śmiałe, nieoznaczające nic nad prostą ciekawość, zabłysło szybko jakby wspomnieniem, ale wspomnieniem niemiłym, bo jłica dziewczyny oblały się rumieńcem. Towarzysz jej był przystojny, silny mężczyzna z uderzająco-brunatną, starannie utrzymaną brodą. A la boutonniere zwieszoną miał różę. Z rękami w kieszeniach tużurka, zbliżył się do Blanki, a uśmiechając się i kołysząc na nodze, skłonił się po trzy razy.

— Zgraliście się do ostatniego szelaga? zapytała młoda dziewczyna w odpowiedzi na ukłony.

Przybyły roześmiał się i kłaniając się powtórnie, dodał:

— Nie powiem, dopokąd.....

— Dopokąd co? pytała mała kokietka.

— Dopokąd pani nie pozwoli mi usiąść przy sobie, co mówiąc, z wdziękiem rzucił się na krzesło, stojące obok panny Evers.

Gdy dwoje tych młodych zaczęło zabawiać się wesołą grą słów pustych, panna Vivian z Longueville przeniosła wzrok swój na matkę, a równocześnie Gordon przedstawił jej przyjaciela, mówiąc:

— Otóż i owa doskonałość, pan Bernard Longueville, o którym tak wiele opowiadałem pani. Jedną z jego właściwości jest, jak pani widzisz, spadać niespodzianie z księżycy.

— Nie z księżycy, lecz z Siena! zaśmiał się Bernard, a mówiąc to, wyciągnął dłoń ku pannie Vivian. Lecz ona w zamian oddała tylko ukłon, a zwracając się do matki poprosiła, by zechciała powrócić do domu, gdyż czuje się znużoną.

Pani Vivian podniosła się natychmiast, a panna Evers, choć niechętnie, musiała zrzec się towarzystwa kapitana.

Zwyczajem przyjętym w Baden, panowie odprowadzili panie do drzwi mieszkania, a Longueville chciał skorzystać

z tej chwili, aby się zbliżyć do panny Vivian, lecz spostrzegłszy, że uniknąć go pragnie, podał rękę matce, a idąc, zauważył, iż rozmowa pierwszej z Gordonem nie była ożywiona. Blanka z kapitanem szczebiotała wesoło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DWUTYGODNIKA.”

Paryż, 25 lipca.

Zapowiedziałem w ostatnim liście krytykę nowego romansu Alfonsa Daudet. Niełatwa to rzecz; już to, że miejsca nie mam na tłumaczenia i wyciągi, że tłumaczenie prozy Daudet'a nadzwyczaj trudne, już to nareszcie, że w tym romansie, jak w dawniejszych: „Le Nabab“ i „Les rois en exil“, to, co nazywamy jednością powieści, nicią intrygi, ciągle ginie, ciągle się urywa i zostawia nas pod wrażeniem pojedynczych, artystycznie wykończonych obrazków. Nim te obrazki przed oczyma czytelniczek przesunę, powiem słowo o powieściopisarstwie francuzkiem w ogóle, a Daudet'a w szczególności.

Dzisiaj, w wszystkich wygórowanych intelektualnie społeczeństwach bizantyzm, że tak powiem, przemógł nad sztuką, azatem forma nad treścią. Poezya i proza stały się wypukłą rzeźbą. Każde słowo jest tam potrzebne i wyrachowane; gdy je odsuniesz, harmonia kształtów i proporcji, niemająca innej podstawy, jak le savoir faire, razi niesfornością. Dla tego też, trzymając się mojego porównania, postaci romansowe dzisiejszych powieści zasłaniają nam do pewnego stopnia myśl główną, zmniejszoną tem samem do roli podrzędnej, a zamiast być wyciosane w jednolitym kamieniu, w owym białym marmurze greckich frontonów, gdzie właśnie myśl artysty formę ożywia i przebiega głazy, przedstawiają się nam w jaskrawych szatach, tak, aby grą kolorów i sztucznie przeprowadzonymi odcieniami więcej nam w oczy wpadały, niż w duszę. Zdaje mi się, że jest to właściwość nowożytnej szkoły francuzkiej, w której Alfons Daudet jest bez zaprzeczenia pierwszy między pierwszymi.

Po długich wahaniach, jak mam czytelniczkom Nume Roumestan przedstawić, czy w streszczonej całości, czyli też częściowo, postanowiłem iść ślad w ślad za autorem, w zmniejszonych rozmiarach przyrządzone obrazki ogromnego kalejdoskopu kolejno przesuwając.

Jesteśmy w „Aps, w Provancyi“ w starych arenach rzymskich, pod szmaragdowym niebem południa. Tłum prowanki o grecko-arabskich rysach, wykrzykuje właśnie na pół łacińskim swoim narzeczem. Boże! jaki on piękny! Utył trochę od roku przeszłego!

— Widzisz, malcze, naszego Nume! jak dorośniesz, to powiesz, żeś go widział.

— A nie ma ani jednego włosa białego!

— Przecie nie taki stary, z trzydziestego roku, z tego samego roku, co Ludwik Filip.

— Pewno, że nie danoby mu czterdziestki.

I mówiąc to, dziewczę o czarnych, jak węgiel, oczach, przesłało na rękę głośny pocałunek wielkiemu Nume. Wszak on poseł! wielki mówca! chwala Provancyi! obrońca ołtarza i tronu! I na estradzie Numa Roumestan między żoną Rozalią i siostrą jej, śliczną Hortensyą Le Quesnoy, odurzony tą jaskrawością niebios i kolorów, tym gwarem, temi oklaskami, wyciąga ramiona w gorącej improwizacji do kochanego ludu, chcąc wszystkich do łona przyciągnąć i wszystkim coś obiecuje i to samo wszystkim, a gdy mu małżonka, pod północnym niebem urodzona, przypomina, że nie starczy we Francji miejsce i biur i laski obietnicom, Numa odpowiada z uśmiechem: Nie nie szkodzi, co przyrzeczone, to jeszcze nie dane, mój aniele.

Uroczystość (rozdanie nagród rolniczych) kończy się farandolą (rodzaj tańca), której przegrywa na bębenku i fujarce sławny tarabanista, Valmajour. Hortensyą, młodą, zapaloną, porywa talent lirnika. Przywołują go na estradę

i staje tam podobny w swej posagowej piękności do pasterza z Arkadyi, a zapytany, jak i skąd mu przysłała ta namietność i to uczucie artysty, odpowiada prosto, że w czasie nocy, gdy słuchał śpiewu słowika. Dziewczę wzruszone, w nerwowym zachwycie urywa rosnący w pobliżu purpurowy kwiat granatu i jak niegdyś na turniejach, wynagradza nim śpiewaka. Tu węzeł dramatu; nie już z serca, z wyobraźni, z oczu Hortensyi nie zatrze tego widzenia, a jej szwagier bezwiednie pcha nieszczęśliwą istotę ku przepaści: opowiada, że Valmajour jest potomkiem książąt tegoż imienia, a jego namawia, aby porzuciwszy strzechę rodziną, z starym ojcem i z siostrą przeniósł się do Paryża.

— Do Paryża! do Paryża, chłopcze! tam już na cie czeka majątek i szczęście!

Teraz następuje inny rozdział; autor nazywa to „odwrotną stroną wielkiego człowieka“ (*l'envers d'un grand homme*). Przenosimy się w czasy, gdzie Numa Roumestan miał lat dwadzieścia dwa i dla ukończenia prawa przybył z Aix do Paryża. Bez majątku, bez pracy, bez ambicji — w kawiarniach u starego Malmus rozprawiał gwaro z kolegami; ma piękny głos, chodzi czasami do opery, a wracając, wypiewuje arye. Skończył prawo między piwem, fajką i arymami. Rodzice dalej pieniądzełożyć nie chcą, bo ich nie mają, a stara ciotka, panna Duportal, bogata pani, siostrzeńca tylko korniszonami, cebulami i pomarańczami zasila. Mimo tego Numa z Paryża oderwać się nie może. Jest adwokatem, ale nie pracuje, bo i nie umie; wszystko u niego polega na czuciu, potrzebuje gwaru, własna wymowa go wzrusza; wtenczas mu się lzy cisną do oczu, wtenczas nawet blednieje. „Gdy nie mówię, to nie myślę“, zwykł powtarzać. Wybija nareszcie godzina. W rozgłosnym procesie dziennikarskim chyłcem się ku upadku cesarstwu rzuca kłutwę, przepowiada straszliwy, niedaleki koniec we krwi i w błocie. Z dnia na dzień staje się wielkim człowiekiem. Ciotka Duportal żeni go z starszą córką prezesa Le Quesnoy, panną Rozalią, ładną, rozsądną, zamilowaną w pracy, w porządku, w zaciszu domowym, nienawidzącą południa i różniącą się w tem od młodszej siostry Hortensyi. Na samym wstępie Numa ją czaruje. On też na wszystko się odważa. W chwili, gdy mu Rozalia, po pierwszej znajomości i rozmowie o malarstwie, w osobnym salonie pokazuje obraz wielkiego mistrza, uszczęśliwiony, odurzony pięknnością dziewicy, obejmuje w pół wiotką jej kibić i na jej czole składa pocałunek. Południe zwyciężyło północ. W rok później już żonę zdradził. Biedna jest w rozpacz, śmierć jej zabrała nowo narodzone dziecko; przebacza jednak mężowi, bo dobra, bo młoda, bo wie, że ten wielki człowiek to coś miękkiego, jak воск — to wielkie dziecko. Wielkie dziecko poza domem jednak stało się potęgą. Został deputowanym, ministrem, prezesem gabinetu, a zawsze kłamie, wszystko wszystkim obiecuje, nawet Hortensyą swata jednego dnia aż trzem swym sekretarzom. Tymczasem Valmajour na mocy obietnic, danych mu w Aix, przybywa z fujarką, bębenkiem, z siostrą i ojcem starym do Paryża. Ale teraz już się do ministra dostać nie można; napróżno nieborak całemi dniami czeka na Ekscelencyą w sieniach, po dworcach, w bramach, tracąc szczupłe swoje dochody. Z zajezdnego domu, gdzie całemi godzinami słychać bębenek i fujarkę, wypędzają go niebawem; on nic, — zawsze na wszystko z cierpliwością odpowiada. Ale siostra jego inaczej myśli; instynktem kobiety wiedzona, odgaduje, że Hortensya Valmajourem zajęta — i do niej się udaje. Valmajour występuje na wielkim wieczorze u ministra.

Powodzenie nadzwyczajne! farandola, jak niegdyś w arenach wije się po złożonych salonach. Ale nieszczęśliwy to wieczór! nieszczęśliwa farandola dla Rozalii mianowicie! mąż jej po raz drugi staje się wiarołomnym, obalamucony urokiem jakiejś śpiewaczki, którą gwałtem wprowadza do opery. Hortensya tymczasem olśniona tą fantasmagorią książęcą Valmajoura, jego powodzeniem, a zarazem trudnem życiem i biedą grajka, który po chwilowym tryumfie, znowu przez ministra i przez publiczność zostaje opuszczonym, idzie nierozważnie za popędem serca, kreśli na swej foto-

grafii słowa: „Twoją jestem — i kocham cię“ i ten dowód miłości niegodnemu jej wysłał. Za prędko niestety przychodzi rozczarowanie, wstręt, wstyd i — Valmajour, wyrwany z ram mu właściwych, z aren, z krajobrazu prowanskiego, umalowany, upudrowany, w dziwacznych kostiumach w ostatnich paryżkich teatrach występuje jak błazen. Hortensya, słowem związana, stawszy się dobrowolnie narzędziem w rękę chciwej siostry trubadura, musi takiemu przedstawieniu być obecną, musi podać rękę temu nędznemu aktorowi, którego Paryż zepsuł, skaził i splamił do reszty. Za wielką to kara; nieszczęśliwa wraca w rozpacz do domu, dostaje suchot i z żalu umiera. Przed śmiercią godzi siostrę z mężem. Drugi raz Rozalia przebacza, przebacza, bo tej biednej, umierającej istocie nie odmówić nie można, bo ona sama będzie niedługo matką, więc dla dziecka uczyni wszystko. Jest to czuła scena, jedyna, która mnie w całej powieści wzruszyła i dla tego ją tu tłumaczę:

„Proszę cię o jedną łaskę, powiada umierająca do siostry, o tę ostatnią łaskę, której się nigdy skazanym na śmierć nie odmawia. Przebaczyć mężowi! zawinił, był niegodnym ciebie, ale zostań z nim, pogódźcie się na nowo. Zrób to dla mnie, dla rodziców naszych, około których trzeba wam skupić się teraz, gdy mnie zabraknie; Numa ich ożywi, nie prawda, siostrzyczko?”

— Przebaczam! odpowiedziała Rozalia, połykając łzy, a Numa stał przed nią wzruszony, zawstydzony, pragnąc i nie mając odwagi rąk do niej wyciągnąć.

— Pocałujcie się! rzekła Hortensya.

Rozalia przybliżyła czoło do ust Numa.

— Nie, nie tak! ale całym sercem, jak dwoje kochających się szczerze małżonków!

To były ostatnie jej słowa.

Parę dni potem, w Aps, odbywa się chrzest małego Roumestan. Z balkonu domu ciotki Duportal, Numa dziękuje zgromadzonym tłumom za wiwaty, a w pokoju matka, z miłością pochylona nad kołyską, wpatruje się w oblicze dziecięcia. Wrócił mówca, ukląkł przed żoną i dzieckiem, a ona teraz patrzyła na niego, jak gdyby chciała wybać tę sprzeczną, niepochwycaną naturę.

— Jakież to było przysłówie, zapytała raptem, które powiedziała wczoraj ciotka Duportal?

— „Radość na ulicy, smutek w domu“ — przypomniał Numa.

— Oj, prawda! rzekła zamyślona; a potem wymawiając wolno te słowa i rzucając je, jakby kamienie, jeden za drugim w przepaść, powtórzyła ze skargą swego życia owo przysłówie, w którym się odbija i maluje całe plemię południowe:

— „Radość na ulicy, smutek w domu!“

Tak się kończy romans Daudet'a. Obszernie się rozpisałem, a jednak niepodobna mi było w tym zarysie oddać wszystkich postaci i całego życia utworu. Jak zawsze, będą i tutaj ludzie chcieli za maskami szukać prawdziwych, znajomych rysów. Z pewnością Numa Roumestan podobny do wielkiej znakomitości południowej, ale ta znakomitość rzeczpospolita utrwałała, a Numa przeciwnie chciałby ją wyrzucić, ale ta znakomitość nieżonata i dla pożytku Francji (wierzymy tak przynajmniej) nie jest cała w głosie tylko i rozgłosie. Inne typy także żyją. Jaka szkoda, że nie mogę odmalować ciotki Duportal z kokami białymi, czerwona, grubą, wrzeszczącą na całe gardło, nazywającą pewnych ludzi rozbójnikami, zbrodniarzami, — albo tego Bomparda, będącego typem gaskończyka, który jest wszystkim, wszystko wie, wszystko widział.

— „Czy wiesz co? kochany Bompard!”

— Coś wiem, zapewne! . . .

— Cóż więc?

— Strzelano do marszałka.

Nie potrzeba dodawać, że strzelano tylko w wyobraźni Bomparda. Wtem nadbiega pierwszy sekretarz Numa.

— Wielka nowina! Panowie! Ministerstwo wywrócone!

— Nie może być!

— Roumestan bierze ministerstwo oświecenia.

— Wiedziałem o tem, odpowiada Bompard, a widząc uśmiech niedowierzania na twarzach:

— Ależ tak jest! byłem tam, wracam stamtąd.

— To czemużes pierwszej nie gadał?

— Nigdy mi nie wierzyć! . . .

I tysiące innych typowych scen.

Chciałem jeszcze o narodowej uroczystości czytelnikom wspomnieć, ale już miejsca nie ma i wolę zamilczeć, bo napisawszy tyle, zapytany jak Bompard, czy jeszcze coś wiem, gotów jestem, jak on, odpowiedzieć:

— Zapewne! wiem . . . Paryż się w fajerwerkach spalił.

W.

Z dziedziny sztuki.

Ogromem potworności zdumiewająca postać Nerona była już niejednokrotnie tematem do dzieł wielkiego zakroju, bądź to w dziedzinie poezji, bądź też malarstwa. Każdy usiłował ostrym konturem wyrysować tę postać, czy to na tle historycznym, podmalowując pędzlem, lub piórem obraz współczesnego Rzymu, czy też w życiu domowym; otaczając ją tem wszystkim, co dla nas jest najdroższem: rodziną, żoną, kochanką. A jednak, pomimo tak częstych opracowań, temat ten każdy pojmował inaczej, każdy w nim innych szukał motywów i inne znajdował, stąd też odmiennie w każdym prawie dziele przedstawiony był Neron-Dyonizos. Bo też nie dziwniejszego, niezwyklejszego na świecie. Kochanek namiętny — i zimny tyran, w poetyczną egzaltację wpadający miłośnik muz — i dzikie zwierzę; to wszystko razem składało się na postać Nerona, plątało się w jego charakterze, aż wreszcie stało się dziwną zagadką psychiczną, której dotąd nikt wyjaśnić n'e potrafił. Cały szereg wypadków w życiu Nerona był dowodem tej mieszaniny charakteru — w każdej dobie był innym, lecz nigdy nie był człowiekiem.

Jedną z najtragiczniejszych chwil tego życia odtworzył młody artysta-malarz p. F. Żmurko, dając nam: „Śmierć Agrypiny.“ Obraz jest już na ukończeniu, za miesiąc ukaże się w salonie Ungra w Warszawie. Korzystając z zwyczaju, na wzór zagranicy u nas zaprowadzonego, a bądź co bądź dla sztuki bardzo korzystnego, podajemy bodaj krótkie sprawozdanie o tem dziele przed jego ukazaniem się, pewni, że znajdzie uznanie, tak jak dziś je znajduje u mistrza szkoły krakowskiej, Matejki, pod którego kierunkiem artysta pracuje.

Kompozycja godna wielkiego płótna, w niej uchwycił artysta chwilę życia, którą nazwalibyśmy najtragiczniejszą, bo obok samego faktu tak niezwykłego w dziejach ludzkiego serca, widoczny tam przysły upadek całego społeczeństwa, którego władca na pierwszym stoi planie. Zaprawdę w dziejach ludzkości od pierwszej jej doby, aż do dni ostatnich nie znajdziemy nic tragiczniejszego, jak ta namiętna miłość Nerona do Agrypiny, miłość, co wyszedłszy z granicy kochania dziecięcego, zapłonęła całą dzikością żądź potwornych. W ślad za tem wynaturzeniem idzie wielka klątwa, która nową zbrodnią spada na głowę Nerona. Żądza wielkości z nikim niedzielonej i kaprys może, ale kaprys neroński, kaprys zdziczałej, szalonej, niczem nie powściągananej fantazyi, popychają go do czynu, który w szeregu potworności, jakich się dopuścił, jest koroną — to śmierć Agrypiny, a jej sprawcą Neron.

Na pierwszy rzut oka tyle tylko widzimy na obrazie p. Żmurki. Życie Rzymian, rozwinięte z całym popędem zbytku, w całej okazałości rozkoszy i bezmyśli o jutrze — świetne, błyszczące, pijane winem, wonią kwieciami i zabaw, roztacza tysiące blasków i powabów, nęci oko widza rozmaitością barw, efektywnością strojów, ugrupowania i poz. Tysiące akcesoryów w architektonice i strojach podnoszą niezmiernie świetność części górnej t. j. dworu Nerona. Za to z całą grozą kontrastu wychodzi część dolna, malowana

ciemno. Góra, oświetlona pierwszym braskiem dnia i wielkimi świecznikami, celuje jasnością i różnaitością barw, nieprzechodzących wszakże w jaskrawość — dół, wybrzeże morza, śpi jeszcze w pomroce nocnej, a na ciemnym tle fal, bijących o podnóża pałacu, rysują się postaci: Agrypiny, niewolnika murzyna i bardzo pięknie malowanego chłopca, przyklekającego na stopniu i schyłonego nad głową nieżywej. Malowanie to bardzo korzystne, w ogólnym półcieniu rozwija się bowiem jeszcze bogaty, a bardzo staranny koloryt, a charakterystyka twarzy w rzedzie zalet pędzla niepoślednie trzyma miejsce. Z części górnej, głównie podnieść musimy Nerona i Popeę, pojmovaną przez artystę nawet prawie idealnie. Pod względem strojów uderzają bogactwem, wykwinnością i wypracowaniem artystycznym dwie postaci na lewo — patrycyuszki Rzymu godnie reprezentują jego blask i świetność zewnętrzną.

Na pierwszy rzut oka tyle tylko widzimy — powtarzamy raz jeszcze — a jednak, kiedy się myśla uleci w tę daleką przeszłość, kiedy się obejmie okiem ogrom, nazwany państwem rzymskim i znów wróci do obrazu, do tej martwej, bladej Agrypiny, nagle myśl jaśnieje nowa, wielka. Świetnie wymalował artysta pyszny, wspinały Rzym, ale we wszystkim przebija upadek — konieczny, bo to społeczeństwo w tej chwili daje wyraz największej zbrodni — zabójstwu matki. Wielkie, święte uczucie miłości macierzyńskiej jest talizmanem, działającym cuda, niem żyją narody; dopóki ono niepokalone rozgrzewa pierś, dopóty byt jednostki i społeczeństwa jest pewny — tam, gdzie tę pierwszą i ostatnią zdeptano świętość, upadek, jak nieubłagana konsekwencja, musi nastąpić. To zdeptanie, sponiewieranie macierzyństwa tak jasno wyrażone w dziele Żmurki, przenosi nas myślą tam, gdzie przez miłość macierzyńską przyszło odkupienie...

Oto wrażenie ostatnie, a serca biją żywiej — szczęśliwy, kto głowę może złożyć na kolanach matki, biedny, kto tylko płacze na mogile...

Zorjan.

Sprawy bieżące.

— **Kobiety** działają dzisiaj w rozmaitych kierunkach, a na życie zarabiają nietylko już igłą, oddając się tak naukowemu, jak nowym praktycznym zawodom. W Europie koleje żelazne mianowicie dostarczają zajęć korzystnych i wiele kobiet piastuje przy nich urzędy. Utrzymywanie rachunków w biurach, likwidowanie towarów, kontrola biletów, a nawet wyrób tychże nierzadko spoczywają w ręku kobiet; stosunkowo bywa najwięcej drożniczek kolejowych, które prócz stałej, rocznej pensji, dostają na własny użytek domek z ogródkiem. Telegrafistek także dużo naliczyć można.

— **Od listopada** z. r. istnieje już w Warszawie bezpłatna szkoła koronczarstwa, założona przez córkę zasłużonego w wydawnictwie krajowym S. Orgelbranda, panią Gabrielową. Pisma warszawskie rozpisują się szeroko o tym zakładzie, zalecając usilnie naukę wyrobu koronek naszym kobietom, tak wyższych, jak i najniższych warstw społeczeństwa, a mianowicie z powodu, że to jedna z tych robót ręcznych, które mają dzisiaj największą racją bytu i nie można zastąpić jej, jak innych, pracą mechaniczną, bo dobroć koronki polega na doskonałym wykończeniu i wykwinnym smaku. Koronczarstwo zatem może być dzisiaj pewnym środkiem zarobku niemających kobiet.

— **W Paryżu** tego roku na wystawie sztuk pięknych widziano kilkaset prac kobiecych; były obrazy olejne, akwarele, rzeźby. Sara Bernhardt wystawiła dwie piękne rzeźby z marmuru, które nawet odznaczone zostały, a wiemy już skądinąd, że sławna artystka francuzka posiada także talent malarski na dość wysokim stopniu. I nasze Polki nie świeciły tam nieobecnością: kilka posłało swoje akwarele, rzeźby, płaskorzeźby — prawie wszystkie z pod rosyjskiego zaboru.

— **Donosiliśmy** już czytelnikom „Dwutygodnika“ przez naszego korespondenta ze Lwowa o sławnym belgijskim magnetyzerze, p. Donato i najznakomitszem w Europie medium jego, pannie Lucyli, którzy ciągle w stolicach i większych miastach dają publiczności zdumiewające przedstawienia. Spirytyzm i siła magnetyzmu zwierzęcego, zajmuje dziś bardzo uczonych, a może badania i doświadczenia ich na tem polu przyniosą w przyszłości ważne dla nauki odkrycia; dziś ona prawie w kolebce. W Londynie p. Bishof jeszcze ciekawszych i bardziej niepojętych dokonuje rzeczy; jedynie za przyłożeniem ręki do czoła osoby drażliwo nerwowego usposobienia, odgaduje w tej chwili nawet jej myśli, lub naśladuje czynności i nuty, chociaż ich nie widział. Pan Bishof sam podobno nie pojmuje tej dziwnej siły, jaka się objawiła u niego bezwiednie, dla tego chętnie poddaje badaniom uczonych cały nerwowy układ swojej osoby.

— **Nauki przyrodzone** i wszystkie z niemi związki mające, olbrzymie czynią postępy w naszym wieku. Przeróżne odkrycia i wynalazki, olbrzymie przedsięwzięcia, dziś zamienione w wykonanie, każą podziwiać potęgę rozumu i siły ludzkiej. Między morze Suez przekopane, góra św. Gottarda wydrążona, między morze Panama zamienia swą postać i Kalańska cieśnina podkopwana, a obecnie dwa nowe wielkie projekta zajmują inżynierów. Myśl pierwszego tj. utworzenie morza w kotlinie afrykańskiej Sahary, poruszona już była przed kilku laty przez Roudaire'a, lecz dzisiaj zajmują się nią na dobre i sam Ferdynand Lesseps popiera wykonanie przedsięwzięcia, bo płynące stąd dla ludzkości korzyści byłyby nieoszacowane, a Francuzi nawet z politycznych względów pragną tego szczerze. Projektem drugim, którego wykonanie na pewno już zatwierdzonem i postanowionem zostało, jest przekopanie Korynckiego między morza. Tenże sam Lesseps kierować będzie inżynierskimi robotami podczas kopania kanału, który w handlu i żegludze ważne zajmie miejsce.

* * *

— **Muzeum narodowe polskie w Rapperswylu.** Podając wiadomość o darach, otrzymanych w miesiącu maju, wyraziliśmy nadzieję, że coraz szersza działalność, jaka się koncentruje w muzeum rapperswylskim, obok żywszego zajęcia się niem ogółu, zdołają nam dostarczyć tyle materiału, że nie będziemy w kłopotie co miesiąc donieść coś nowego naszym czytelnikom o wzroście tego zakładu.

Jakoż w miesiącu czerwcu przybyło wiele darów, o których wiadomość nie będzie bez interesu dla publiczności.

Polka z Ukrainy ofiarowała medalion Aleksandra Grozy, jednego z tych popularnych i ukochanych poetów ukraińskich, co to wykarmieni od lat dziecinnych pieśnią i podaniami rodzinnymi, zbliżyli się najwięcej do ludu, biorąc go za główną treść i tło swoich utworów. Wizerunek autora Rusałek, pana starosty Kaniowskiego i Mogiły, jest tu wiernie i pięknie wykonany przez Wł. Oleszczyńskiego.

Pan A. D. S. Brochocki z Florencji fotografie wieńca i szkatułki, ofiarowanych Kraszewskiemu przez grono Polaków zamieszkałych we Włoszech.

P. Franciszek Düll swoje własne poezje „Czem chata bogata.“ Lwów, 1881 r.

Hr. Wł. Plater 3,000 fotografii, ułożonych w pięknych dwunastu albumach. Obejmują one portrety emigracji polskiej z r. 1863, jako i w ogóle biorących udział w tem powstaniu. Unikat ten, liczący taki ogromny szereg portretów jednej generacji z tyle wybitnej epoki, co z bronią w ręku walczyła za wolność swego kraju, a później skazana na bolesne tułactwo, przechowywany w muzeum z właściwym rodowodem i działalnością każdej jednostki, stanie się na przyszłość nieocenionym zabytkiem i obrazem żywo przywołującym dzieje tych strasznych cierpień, wielkich wysiłków i bezgranicznych poświęceń. Bogaty ten zbiór, jedyny w swoim rodzaju, mógł być dopełniony tylko w skutek jakichś szczególnie sprzyjających warunków i okoliczności, jakie posiadał właściciel onego, będąc wyższym urzę-

dnikiem francuskim, specjalnie wyznaczonym od swego rządu do zajmowania się emigracją polską.

Pan Henryk Bukowski ze Stockholmu. Jego ostatnia przesłanka darów dla muzeum, pełna rzadkości bibliograficznych i zapomnianych, lub wcale nieznanych materiałów do dziejów naszych, wymagałaby osobnego sprawozdania. Szcupłość zaś miejsca pozwala nam tylko wymienić ogólne liczby wraz z kilku tytułami.

P. Bukowski nadesłał 200 książek i druków w różnych językach. Są to dzieła o Polsce, lub też zostające w związku z Polską, pomiędzy niemi są wydania Elzevirów i Förstera. Z dzieł zaś bliżej nas obchodzących wymieniamy: Komentarz do wojny Chocimskiej przez Jakóba Sobieskiego, Historia Litwy Kojalowicza, dzieła Szymona Starowolskiego, Relacje o zwycięstwach Jana Kazimierza, Kronika Gwagnina, wydanie frankfurckie z r. 1584. Dzieła Pawła Szczerbca, Krzysztofa Warszawskiego, A. M. Fredry, Iwanickiego, A. Olszewskiego, Jana z Kurzelowa, wszystkie z XVI lub XVII wieku.

Pomiędzy rękopisami są ważne papiery po baronie Tersmeden, członku komitetu dla spraw polskich w Stokholmie r. 1863. Uniwersał Władysława IVgo z własnoręcznym podpisem i pieczęcią króla z r. 1637, takież Zygmunta III z r. 1627, oraz akta koronacyjne Zygmunta III.

W zbiorze sztychów znajdują się: Falcka, Bouttatsa, Wortmana, Mansfelda, Rozbacha, Bergera, Hamiltona, Chodowieckiego, i wielu innych. Do działu tego liczą się także bardzo już rare plany bitew, fortec i różnych miast polskich z czasów Jana Kazimierza, jako też kilka oryginalnych szkiców Weterlinga i Buklanda, znanych malarzy szwedzkich.

Pan Kleming ze Stockholmu ofiarował dzieło Brucka w języku szwedzkim p. t. Polska rewolucja 1830 i 31.

W miesiącu czerwcu Zarząd muzeum ogłosił drukiem w tekście francuskim, adres dziękczynny 270 kapłanów polskich, pozostających na wygnaniu w głębi Rosyi, lub na Syberyi, wystosowany do towarzystwa międzynarodowego, zajmującego się sprawami religijnymi w Polsce, które w r. 1875 założył hr. Wła. Plater w celu wspieraniu kapłanów polskich. Prócz tego zarząd drukował w języku francuskim adres Unitów do Ojca św. od zostających na wygnaniu w gubernii Chersońskiej. Oba te akta, stwierdzające fakt nieustannego ucisku kościoła w Polsce, rozdane zostały wszystkim ważniejszym dziennikom europejskim i amerykańskim, które je też ogłosiły.

Jak wiadomo, zarząd muzeum zajmuje się wydaniem obszernego dzieła p. t. Wieniec pamiątkowy, którego manuskrypt został już ukończony. Książka ta, pełna materiałów historycznych do dziejów narodowego powstania 1830 i 1831 r. z życiorysami naszych weteranów i opisem obchodów półwiekowych w Europie i Ameryce, idzie już do druku i godnie uwieńczy jubileuszową pamiątkę.

PODRÓŻ OKOŁO ŚWIATA NA YACHCIE SUNBEAM

czyli

ROK ŻYCIA FAMILIJNEGO NA MORZU

przez

PANIĄ BRASSEY.

Tłumaczone z angielskiego (w wyjątkach).

(Ciąg dalszy.)

Nad brzegiem skalistej przepaści podjechaliśmy bawołami pod ostrą górę, obrosłą papłunem (caladium) i winną latoroślą, nim stanęliśmy w Til, celu naszej wycieczki. Po drodze, na spadzistości góry, omijaliśmy kilka zagród, których mieszkańcy przy gorącym dniu wypoczywali w cieniu na progach domów; skorzystaliśmy z tego, aby przez otwarte drzwi zajrzeć do wnętrza ich dziedzińców, zarosłych bogato kwiatami, figowemi drzewy i bananami, jakby

małe raje. Wsiadłszy na wyżynie Til, dość długo rozkoszowaliśmy się niezrównaną wonią kwiatów, szumem wody, spadającej w kaskadach i uroczym widokiem, obejmującym miasto. Wszystko to razem stanowiło całość, harmonijnie oddziaływającą na uczucie, pobudzając nas do marzenia. Zmuszaliśmy się też nawzajem, aby opuścić to miejsce czaru i wrócić do suchych ścian naszego statku i monotonnej przestrzeni morza.

W powrocie zatrzymaliśmy się na chwilę w Pracą, aby z tłumami ludu przysłuchiwać się śpiewowi portugalskich pieśni, wzaimprowizowanemu, ulicznemu koncertowi. Słowa były niezrozumiałe i muzyka niepojęta prawie dla nas, na pół dzika, a jednakże chwytła nas za serca. Wysłuchaliśmy jej do ostatniego tonu i dopiero o 11 w nocy dobiliśmy do naszego yachtu.

Następnego ranku wybraliśmy się na rynek, aby zrobić zakupno żywności, lecz pomimo wielkiej różnorodności ryb, nie znaleźliśmy nic dobrego i toż samo spotkało nas przy owocach. Te ostatnie zwożą ze wsi okolicznych łódkami po odpływie morza. Około południa poszliśmy się wykąpać. Nadbrzeże tutaj jest nadzwyczaj jest strome, od razu z góry trzeba się zrzucać w morze. Nieumiejętni pływacy przywiązują sobie do boków pęcherze, lub wskazują z pomocą stróżów kąpielowych. Krajowcy zaś, jakby należeli do stworzeń wodnych, cały dzień kąpią się i pływają. Yacht nasz każdego rana otoczony był łódkami, pełnemi chłopaków, którzy dla schwytania sześciu pensów nurkują w nieprzejrzaną głębię, o najmniejszy pieniądz, rzucony w morze, cała banda kłóci się i bije. Spodem yachtu przepływali z największą łatwością i to tak szybko, że nie można było przebiec przez pokład, by się przekonać o ich zręczności.

Staliśmy o 150 metrów od brzegu z kotwicą, zarzuconą u stóp skały Loo. Stara forteca, wznosząca się nad tą skałą, zdaje się jakby zanurzona w kwiatach Bougainvillea; geranie, fuksye, aloesy kolczyste, pomieszczone z drzewami brzoskwiniami i pomarańczowemi chylą się tu aż ku morzu i kąpią niekiedy swoje gałęzie. Po piątej z wieczora pojechaliśmy konno do ogrodu, urządzonego starannie na wysokiej górze. Droga prowadzi przez las, wśród dzikich geranii, ameryllisów, oleandrów i innych, w naszych cieplarniach pielęgnowanych, roślin. Z powrotem spuszczały się z góry w koszykach, urządzonych na dwie osoby, opartych na kołach, w których z największą szybkością zjeżdża się na dół. Kilku krajowców podtrzymuje koszyk i pomimo pospiechu nadzwyczaj bacznie kierują nim po wszystkich załamach krętej drogi, nie oszczędzając nóg własnych, stąpając po najostrejszych kamykach. Zjazd ten, szalenie nagły, nowym był dla nas; niebezpieczeństwa nie ma żadnego, chyba że powstanie ogień przez tarcie żelaznych kół o kamienistą drogę.

18 lipca. Zbudzono nas o pół do 4-tej; o 6-tej byliśmy na pomoście z przybyłymi przyjaciółmi, z którymi wspólnie zamierzaliśmy zjeść śniadanie na górze Torrinas, 5,000 stóp wysokiej. Chwila naszego wylądowania była właśnie chwilą ogólnej kąpeli; zaledwo zdołaliśmy pochwycić łódkę, wolną od tłumu obu płci. Bez wyjątku, starzy i młodzi, wszyscy spieszą zaraz z rana do kąpeli; starzec o siwym włosie i dziecię, zaledwo chodzące, równocześnie rzucają się w morze. W cieniu fig wsiadliśmy na czekające konie. Przejeżdżaliśmy bujne winnice, owocowe ogrody ciemny, rozległy las hiszpańskich orzechów. Około 11-tej, dostawszy się na szczyt góry, mieliśmy do wyboru drogę, okrążającą górę, lub przebycie jej grzbietu. Obraliśmy tę ostatnią przeprawę, zachęceni przez miejscowych ludzi. Widok na dolinę o 1500 stóp niżej położoną był uroczy, góry zaś nad głowami naszymi wznosiły się w ząbkowate grzbień. Wdrapywaliśmy się po pochyłości, obrosłej trawą, aby się dostać na szczyt Torrinas; trudy te wynagrodził nam uroczy widok na miasto Funehall.

Niedługo jednakże mogliśmy się upajać tym pięknym widokiem; długa, mozolna droga wyczerpała nam siły. Zapasy posiłku niewielkie zabraliśmy z sobą, obiecane z ho-

telu śniadanie nie nadeszło; znużeni i zgłodniali nad wyraz, poddać się musieliśmy prawom natury, zaniechać rozkoszy pięknych widoków i wracać dla chleba powszedniego na ziemskie niziny. Znużeni jeszcze więcej dnia następnego tą wyprawą, dopiero około 9-tej rzuciliśmy się w morze, by użyć kąpieli, a przyjemność ta była tem większa, że urozmaicona przestrachem, jakiego nas nabawił ścigający nas rekin. Na ląd nie wybrałam się, jak o 6-tej z wieczora, aby odwiedzić cmentarz, na którym spoczywają zmarli tu Anglicy. Cmentarz ten, okolony drucianym płotem, obrosłym stephanoliściem w bujnym kwieciu, ma rozliczne ścieżki, ocienione wonnymi krzewami. Pełna byłam smutnych myśli o tych, co tu zmarli na służbie wojskowej, zapewne w kwiecie młodości. A gaśli osamotnieni zdala od miejsc, gdzie zaledwie głos ich i śmiechy wesole zamilkły, gdzie z bijącym od radości sercem wyglądali ich powrotu — a oni na tej dalekiej wyspie spoczęli już na wieki.

Powróciłam na statek, gdzieśmy dnia tego oczekiwali zaproszonych gości. Panie z Madeiry, nienawykłe do kołysania statku, przez długie pokolenia rodzą się i umierają na swojej wyspie, nie opuszczając jej nigdy. Po przybyciu jedna z nich zaraz na ląd powracać musiała, a druga, nim zasiedliśmy do obiadu, pożegnała nas spiesźnie; pozostali panowie zachwyceni byli urządzeniem naszego jachtu, mianowicie podziwiali rozmaite zakątki statku, z wygodą urządzone. Po wyjeździe gości, około 10-tej wieczór, wypłynęliśmy z zatoki, puszczając się w dalszą podróż.

21 lipca sądziliśmy, że wkrótce dopłyniemy do równika, według obrachunku naszych marynarzy. Dzień był mglisty i dopiero około 10-tej ujrzelśmy w oddaleniu mil 59 tak zwany pic de Teneriffe, wznoszący się ponad chmury prosto w górę i tonący poza niemi. Przy lepszym zbliżeniu zdał nam się on mniej prostopadłym, a że inne góry tej wyspy wznoszą się także bardzo wysoko, więc w porównaniu z niemi, spiczasty jak głowa cukru, nie robił wielkiego wrażenia i zrazu trudno uwierzyć, że 12,180 stóp wznosi się ponad poziom morza.

Kotwicę naszą zarzuciliśmy w porcie Oratove zamiast, jak inne okręty, w Vera Cruz, lecz uczyniliśmy to raz dla tego, że powietrze znacznie tu zdrowsze, powtóre, że byliśmy bliżej wspaniałego szczytu. Całe nasze towarzystwo, znużone gorącem, nie miało odwagi wychylić się z jachtu, ja więc z kapitanem Lecky udałam się do vice-konsula i wraz z nim urządziłam wyprawę na szczyt Tenerify. Podług umowy o północy stawiliśmy się wszyscy do konsula, a że koni nie było jeszcze, rozłożyliśmy się obozem i dopiero o 1-szej w nocy w dwanaście osób wyruszyliśmy z miejsca.

Księżyc nie świecił; pierwsze dwie godziny jechaliśmy w zupełnej ciemności, poczem zaczęło się rozwidniać i powoli, coraz wybitniej wychylała się z mroku okolica. Byliśmy już powyżej chmur, niektóre góry, przebijając się przez gęstą, białą mgłę, wyglądały jak ogromne lodowce, świeżo popruszone śniegiem, szczyty zaś innych wysp Kanaryjskich zdawały się, jak rozrzucone skały. Słońce stało się coraz gorętsze i o pół do siódmej zatrzymaliśmy się, aby zjeść śniadanie i napić konie. W godzinę byliśmy już na koniach, puszczając się przez wyschlą przestrzeń żółto-białych, nadętych kamieni, przeplatanych ogromnymi odłamami lawy, wyrzuconej z paszczy wulkanu.

Początkowo jednostajność obrazu urozmaicona była ogromnymi krzewami kwitnącego żarnowca i jeszcze piękniejszymi krzewy *Betonia blanca*. Te ostatnie kształtem przypominają wiązkę piór, na 8 do 9 stóp wysokich, całe okryte białym kwiatem, wydającym woń upajającą. Wyżej wszelka wegetacja ustaje, dokoła rozciąga się przestrzeń żółtego, pumejowego piasku, z pośród którego gdzie niegdzie wychylają się skały, jakby na pół stopniałe od gorąca.

Około pół do 10-tej stanęliśmy w Estancia de los Ingleses (9,639 stóp wysokości); tu musieliśmy pozostawić nasze pakunki i konie, zastępując je mułami, zdolniejszymi do podchodzenia. Tutaj kończy się rzeczywiście droga i już tylko strumieniem lawy i kamieni można przedostać się do szczytu.

Biedne nasze wierzchowce co kilka chwil musiały odpoczywać, gdyby zaś nie żuźle i popiół, całkiem podjechać by nie można. W półtorej godziny dosięgliśmy Altawista, małego przestanku, skąd już dalej tylko pieczo wdrapywać się było trzeba. Wyprawa aż dotąd tak była nużąca przy ogromnem gorącu, że postanowiłam pozostać z dziećmi, nie puszczając się z panami dalej. (C. d. n.)

MYSŁI.

Każdemu, skoro można, w potrzebie pomagać, a nigdy nie szkodzić nikomu, oto coś winien braciom.

Człowiek, sam potrzebujący, bywa najmiłosierniejszym.

Są tacy, co jednym dobrze czyniąc, krzywdzą drugich, ty lepiej nie dawaj, jeśli pierwszej masz wydrzeć.

Żądać szczęścia stałego bez zmiany, byłoby to żądać światła bez cienia.

Mówią niektórzy, że szczęście ludzi psuje; naprawiaćby owszem powinno. Kto szczęśliwy, tak mu łatwo być dobrym.

Ten krewny, kto przyjaciel.

Poradę każdy da, ale pomoc i pociechę ten tylko, kto kocha.
z *Tańskich Hofmanowa*.

Nie jesteśmy nigdy ani tak szczęśliwi, ani tak nieszczęśliwi, jak nam się wydaje.

Więszym jest wstydem nie ufać swoim przyjaciółom, aniżeli być przez nich zdradzonym.

Mało jest ludzi tak rozsądnych, którzyby woleli użyteczną nagane, aniżeli nieszczerą pochwałę.

Pochlebstwo jest fałszywą monetą, mającą wartość jedynie w obrębie naszej próżności.

Lubimy zwykle tych, którzy nas podziwiają, ale nie zawsze tych, których podziwiamy sami.

Chętnie się chętnie z małych wad naszych, aby tem dowieść, że wielkich nie posiadamy wcale.

Więszym jest lenistwo naszego ducha, niż ciała.

La Rochefoucauld.

Pobłażanie i chęć obowiązywania są dwa celniejsze środki do zjednania sobie przychylności u ludzi.

Im mniej nas zajmują wady i śmieszności ludzi, tem słodsze jest życie nasze.

Przy mężu władza, przy żonie wpływ nad mężem pozostać powinien.

Nie ma czystszej szczęścia, nad szczęście dwóch istot szcunkiem i miłością połączonych.

Uwielbiając przyjaźń, nie lekajmy się naznaczyć jej miejsca, które w sercu naszym zajmować powinna.

Przyjaźń nasza słabnie, gdy się do większej liczby osób rozciąga.

Nadzieja jest największą potęgą na świecie, bo łagodzi naj-silniejsze cierpienia i pociesza lepszą przyszłością.

W samotności myśl o swoich wadach, w towarzystwie zapominać o wadach bliźnich.

Zwyczaj sztydzenia z drugich pozbawia nas dobrego serca.

Nigdy nie takiego nie rób, o czembyś pragnęła, aby ludzie nie wiedzieli.

Zamilowanie życia domowego najlepszym jest dowodem szczęśliwego pożycia małżonków.

Używać darów nieba jest mądrością; przyczyniać się, aby drudzy używali, jest cnotą.

Tr e ś c: Artykuł wstępny: Jak należy pojmować wychowanie jędrne i zdrowe — Do muzyki, wiersz przez Urielę. — Percy, Bische Shelley. Szkic biograficzny przez E. z K. P. (Dok.) — Zaufanie. Powieść Henryka James. Przekład z angielskiego. (Ciąg d. nast.) — Korespondeneya Dwutygodnika: Paryż. — Z dziedziny sztuki przez Zoryana. — Sprawy bieżące. — Podróż około świata na yachcie Sunbeam czyli rok życia familijnego na morzu przez panią Brassey. (Tłom. z ang w wyjątkach) (Ciąg dalszy nast.) — Myśli.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.